

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

„Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 31 sierpnia 1912. Nr. 35.

Nowa fala bandytyzmu w Warszawie.



Nowa fala bandytyzmu w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Nowa fala bandyzmu zaczyna znowu zalewać Warszawę. W Królestwie Polskiem zdarzały się wprawdzie ciągle jeszcze rabunki, zdawało się jednak, że minęły już czasy, kiedy to bandyci dokonywali z bronią w ręku rabunkowych napadów w najruchliwszych punktach Warszawy. Tymczasem znowu zaszedł fakt podobny, który wywołał w całej Warszawie wielkie wrażenie. Zuchwała szajka bandytów napadła na zapełnioną gośćmi restauracyę Zabłockiego przy ul. Senatorskiej Nr. 9, a więc w śródmieściu. Rozległa się w restauracyi tak dobrze znana komenda: „Proszę się nie ruszać! Ręce do góry.“ Jeden z bandytów stanął przy drzwiach, drugi wskoczył na kontuar, a dwaj inni z brauningami przyskoczyli do środkowego stołu, gdzie zabawiało się liczniejsze towarzystwo. Widząc wymierzoną ku sobie lufę rewolweru, jeden z obecnych gości, przedsiębiorca budowlany p. Grancow, chwycił bandytę za rękę. Wówczas posypały się strzały. P. Grancow padł trupem na miejscu z przestrzeloną na wylot głową, a towarzysz jego, p. Jan Knipel, który również usiłował stawić opór bandycie, otrzymał śmiertelny strzał w brzuch.

Bandyci po strzałach rzucili się do ucieczki. Zaalarmowana strzałami policya rozpoczęła pościg. Bandyci przebiegli Plac Zamkowy i wpadli w ulicę Święto-Jańską, ostrzeliwując się z brauningów. Strzałami tymi ranili stróża Bąka, który usiłował im zabiedz drogę i policyanta Mądrzeckiego, a jedna z kul raniła właściciela sklepu Nachtigala. W ten sposób bandyci przebiegli kilka ulic aż wreszcie policyantowi Mazurowi udało się jednego z nich ranić i schwytać. Był to 18 letni młodzieniec, bardzo przyzwoicie ubrany. Jak się okazało ze znalezionych przy nim dowodów, nazywa się Józef Przybylski i jest z zawodu rysownikiem...

Towarzysze jego zdołali wprawdzie ujść pościgu, lecz na podstawie informacyi, wydobytych od Przybylskiego, policyi udało się wszystkich wyśledzić i ująć. W ciągu kilku dni aresztowano mianowicie trzech uczestników napadu: Matuszyńskiego, Duszyńskiego i Jerzmanowskiego.

W ten sposób szajka bandytów, których zuchwały napad na restauracyę przedstawia nasza tytułowa illustracya, znalazła się już pod kluczem i odpokutuje za swe zbrodnicze czyny.



Osierocona „Armia zbawienia“: Delegaci korpusów „Armii zbawienia“ ze wszystkich stron świata z założycielem jenerałem Boothem w pośrodku.

Osierocona „Armia zbawienia“.

Od szeregu lat pracuje po różnych krajach świata wśród nędzarzy i robotników t. zw. „Armia zbawienia“. Wytworzona w Anglii z łona metodystów weslejańskich, stanowi dziś potężną organizacyę, liczącą kilka milionów członków. Założycielem jej był kaznodzieja metodystów Wiljam Booth, urodzony w roku 1829, oraz żona jego Katarzyna Mumford. Właściwą podnietę do stworzenia tej humanitarnej instytucyi dała pani Boothowa. Jako panna, przejęta silnem uczuciem religijnem, a przedewszystkiem miłością wszystkich upośledzonych, dowiedziawszy się przed ślubem, że pierwszy jej narzeczony popełnił czyn niegodziwy, zerwała z nim. Przejście to jednak pogrążyło ją na pewien czas w melancholię. Uleczyła się pod wpływem studyów Ewangelii i postanowiła poświęcić swe życie niesieniu pomocy nieszczęśliwym. Uczęszczając pilnie na zebrania metodystów, poznała dzielnego kaznodzieję, Wiljama Bootha, którego zaślubiła w r. 1855. Booth pod wpływem żony zaczął w kazaniach wygłaszać jej poglądy. Stracił wskutek tego swoje stanowisko i wtedy w r. 1861 rozpoczął apostolską misyę, niosąc pociechę i jałmużnę nieszczęśliwym. W ten sposób w około niego powstała nowa sekta, która zaczęła się szybko rozszerzać. W r. 1866 osiedlili się Boothowie w Londynie w dzielnicy Whitechapel, gdzie żyją najbiedniejsi ludzie. Nie zważając na trudności, prowadzili swą pracę misyjną dalej. Celem nowej, przez nich stworzonej organizacyi jest, aby przychodzić z pomocą nieszczęśliwym i biednym przez tworzenie przytułków, tanich kuchni, biur udzielania pracy, ferm wzorowych i t. p.

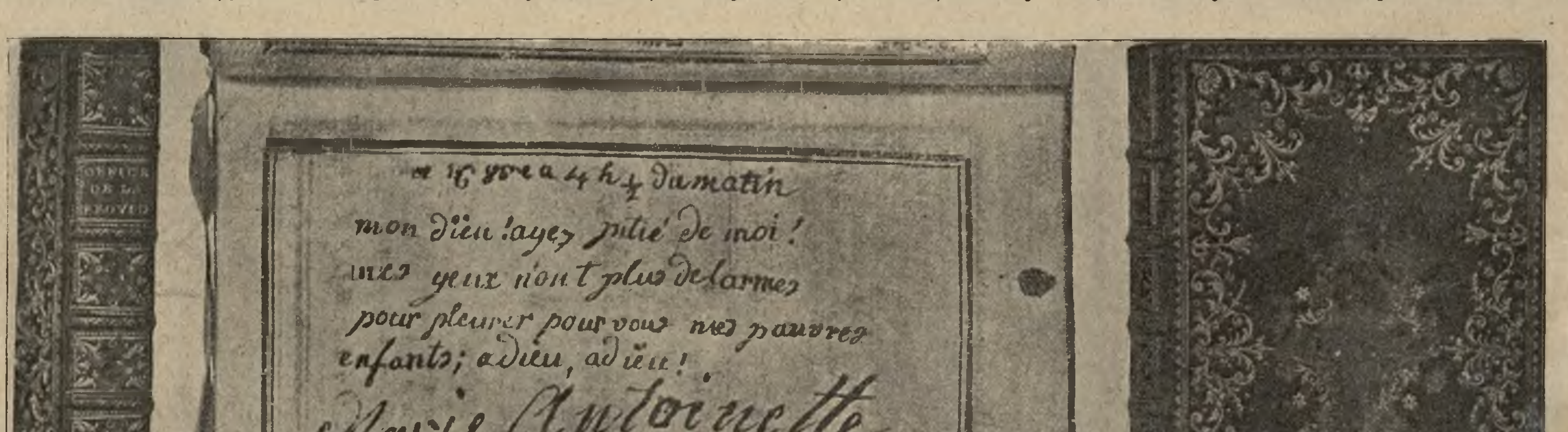
Kiedy ilość zwolenników nowej sekty wzrosła, Booth nadał jej formę organizacyi wojskowej, zostając jej naczelnym generałem. Organizacya ta otrzymała nazwę „Armii zbawienia“. Dzisiaj jest ona rozpowszechniona po całej kuli ziemskiej i liczy miliony zwolenników.

Obecnie „Armia zbawienia“ została osierocona. Generał Booth zmarł przed kilku dniami w Londynie. Następstwo po nim objął najstarszy syn Bramwell Booth.

Pogrzeb generała „Armii zbawienia“ był olbrzymią manifestacyą. Przybyli nań delegaci korpusów armii ze wszystkich prawie państw Europy i Ameryki. Londyńskie oddziały armii, liczące kilkaset tysięcy ludzi, wystąpiły w komplecie, a w mieszkaniu nowego generała złożono tysiące kondolencyi, między innymi od królów i książąt.

Wspomnienie krwawych dni.

W miejskiej bibliotece miasta Chalons-sur Marne we Francyi odkryto niedawno jedną z licznych pamiątek krwawych dni rewolucyi francuskiej. Znale-



Wspomnienie krwawych dni: Odnaleziona świeżo książka do nabożeństwa królowej Maryi Antoniny z pożegnalnym listem, skreślonym na kilka godzin przed straceniem.



Wypadki w Tatrach: Wyprawa Pogotowia ratunkowego, która sprowadziła p. Zarnecką (✕) z Wielkiej Buczynowej Turni. (Fot. „Tatry", Zakopane).



Osierocona „Armia zbawienia": Dom jenerała „Armii zbawienia" Wiliama Bootha.

ziono tam mianowicie książeczkę do modlitwy, bardzo ładnie oprawną, którą na żądanie konserwatora biblioteki Oktawa Beuve zbadał jeden z najsławniejszych znawców autografów dr. Charavay. Na stronie 219 tej książeczki znalazł uczony badacz ustęp skreślony ręką nieszczęśliwej królowej francuskiej Maryi Antoniny. Pisany on jest na kilka godzin przed straceniem, a treść jego stanowi serdeczne pożegnanie matki dla dzieci. W polskim przekładzie list ten brzmi: „Dnia 16 października $4^{1}/_{2}$ godz. rano. Mój Boże! miej zmiłowanie nademną! Oczy moje nie mają już łez, aby módz was opłakiwać, moje biedne dzieci! Do widzenia! Do widzenia! Marya Antonina". Data pierwotnie napisana była 15 października, ale królowa własnoręcznie ją poprawiła. Widocznie kreśliła te serdeczne słowa pożegnania w wielkiem podnieceniu nad ranem dnia, który był jej ostatnim i w pierwszej chwili pomyliła się.

Na tytułowej karcie książeczka ma uwagę „do użytku domu królewskiego". Wydana została w Paryżu u Praulta w r. 1757. Złoty krzyżyk na wierzchu został oderwany. Dr. Charavay stwierdził stanowczo autentyczność pisma nieszczęśliwej królowej. Tem samem do wspomnień o Maryi Antoninie przybywa jeszcze jedna bardzo cenna pamiątka.

Illustracye nasze przedstawiają książeczkę do nabożeństwa i kartę z listem pożegnalnym królowej.

Wypadki w Tatrach.

Jeszcze nie zapomniano strasznego wypadku, jakiemu uległa panna Szysztowska, a kronika zakopiańska ma do zanotowania znowu dwa wypadki, z których jeden zakończył się śmiercią, a w drugim tylko cudem zdołano ocalić zbłąkaną turystkę.

Przed dwoma tygodniami wyruszyła w Tatry z Zakopanego pani Zielińska. Przeszła ona na stronę węgierską, tam zrobiła kilka wycieczek, wreszcie chciała przez Rysy powrócić do Zakopanego. Kiedy nie nadchodziła, zaczęto się o nią niepokoić, wreszcie po upływie kilku dni Pogotowie ratunkowe ruszyło w góry, aby przeprowadzić poszukiwania za zaginioną. Skierowano się odrazu na Rysy, gdyż tam prowadziły ostatnie ślady p. Zielińskiej.

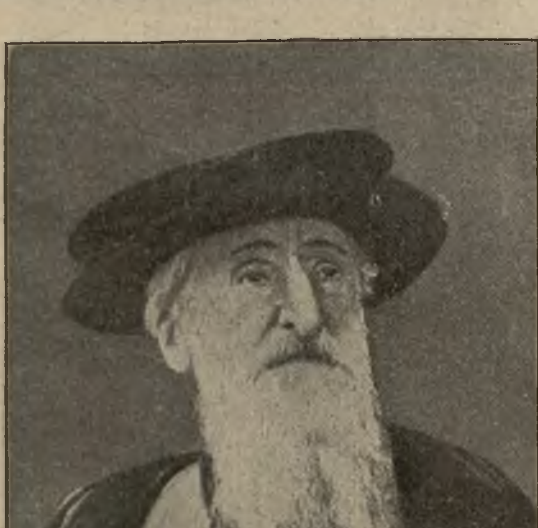
Oddział ekspedycyi pod wodzą p. Zaruskiego prowadził poszukiwania na polach śniegowych nad Czarnym Stawem. Tutaj w wysokim kominie znaleziono ciało nieszczęśliwej. Pani Zielińska, zmyliwszy drogę, spadła z ogromnej wysokości, kalecząc się w straszny sposób. Śmierć znalazła odrazu. Z wielkim nakładem pracy wydobyto ciało i przewieziono do Zakopanego.

W tym samym niemal czasie, gdy Pogotowie ukończyło poszukiwania za ciałem ś. p. Zielińskiej, zdarzył się w Tatrach drugi wypadek, którego ofiarą znowu była kobieta.

Turyści wracający przez dolinę Pańszczycy do



1456 kilometrów na łodzi: Członkowie Warsz. Tow. wioślarskiego, pp. Lewandowski, Dunbel, Łaciński i Kwiatkowski po powrocie z 25 dniowej wycieczki turystycznej na rzekach polskich.



Osierocona „Armia zbawienia": Zmarły jenerał „Armii zbawienia" Wiliam Booth.



Osierocona „Armia zbawienia": Nowy jenerał „Armii zbawienia" Bramwell Booth.



Osierocona „Armia zbawienia": Jedna z gorliwszych działaczek „Armii zbawienia", żona Bramwella Bootha.



Wypadki w Tatrach: Dzień Niebieskiego Krzyża w Zakopanem na rzecz Pogotowia ratunkowego. (Fot. „Tatry“, Zakopane).



Wypadki w Tatrach: Nikt nie wymawia się od złożenia ofiary na rzecz Pogotowia ratunkowego. (Fot. „Tatry“, Zakopane).

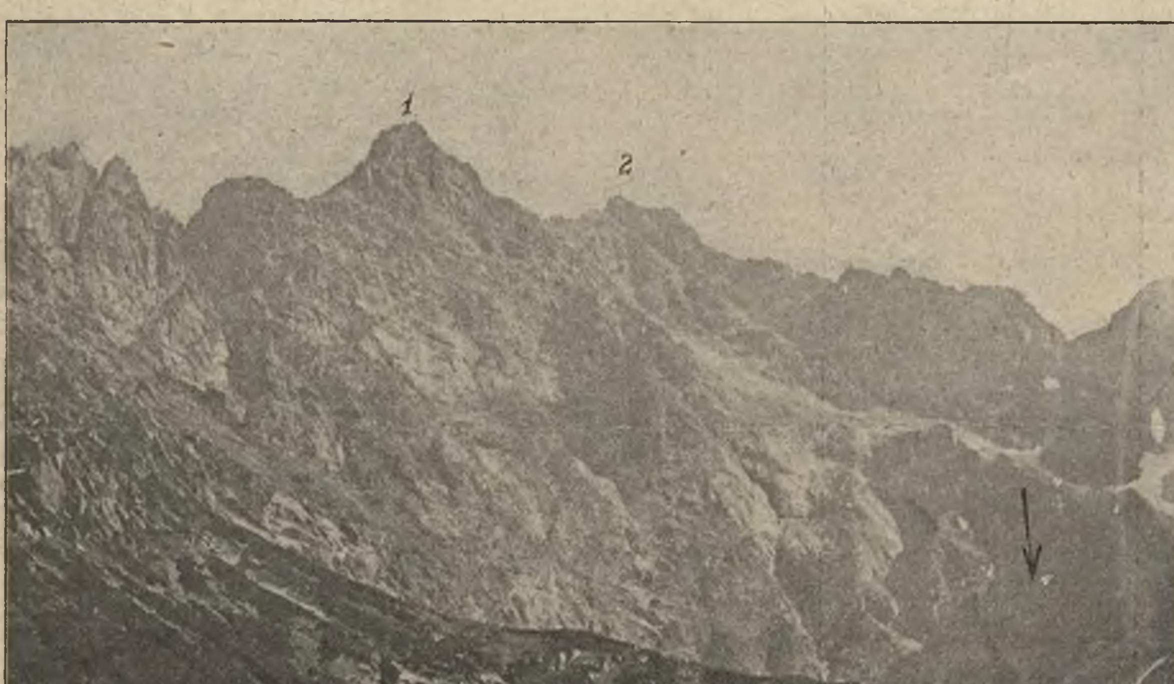
Zakopanego usłyszeli na ścianie skalnej Buczynowej Turni wołania o ratunek. Gdy podeszli bliżej, przekonali się, że na skale nad przepaścią stoi kobieta, która widocznie zabłądziła w górach, a której grozi spadnięcie, gdyż z miejsca, w którem się znajduje, ruszyć się nie może.

Ponieważ sami nie mogli jej przyjść z ratunkiem, ruszyli do Zakopanego po pomoc. Po drodze na hali gąsienicowej spotkali członków Pogotowia pp. Lesieckiego i Zdyba, a ci natychmiast zorganizowali ekspedycyę. Mimo panującej w górach śnieżnej wichury i ciemnej nocy, wyprawa ratunkowa dotarła nad ranem do zaginionej, która dawała już bardzo słabe znaki. Z powodu ciemności musiano czekać do świtu i dopiero o godz. w pół do 5 tej rano zdołano nieszczęśliwą wydobyć. Była tak skostniała, iż nie mogła mówić. Po przywróceniu jej do sił, dowiedziano się, że jest to p. Anna Żarnecka z Krakowa. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknęła śmierci.

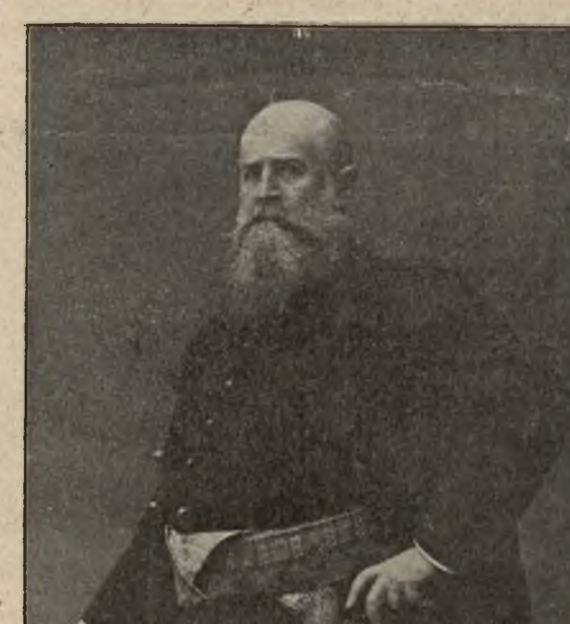
Ostatnie tygodnie dowodnie okazały, jak wielką wartość i znaczenie ma Pogotowie ratunkowe tatrzańskie, które pod wodzą p. Zaruskiego tak energicznie pracuje.

To też kiedy na dochód tegoż Pogotowia urządzono „Dzień niebieskiego krzyża“, ludność Zakopanego i bawiący w niem kuracyusze spieszyli z chętnymi datkami, aby poprzeć tę tak ważną instytucyę.

Illustracye nasze przedstawiają miejsce, gdzie zginęła ś. p. Zielińska, uratowaną p. Żarnecką i epizody z „Dnia niebieskiego krzyża“.



Wypadki w Tatrach: Morskie Oko: 1) Rysy Niżnie, 2) Rysy, ←—— Miejsce, z którego spadła ś. p. Zielińska. (Fot. „Tatry“, Zakopane).



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. dr. Zdzisław Marchwicki, były wiceprezydent m. Lwowa, i członek austryackiej Izby panów.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

32)

— To mało, albo wcale nic nie znaczy, bo i rekrut jedzie z Warszawy do Turkiestanu, a wraca taki sam mądry, jak pojechał. Poznać, to znaczy umieć patrzeć, — zapalał się doktor. — Idź pani na rynek Kleparski, na plac Szczepański i zobacz te ich barwne stroje, które odpowiadają ich temperamentowi, posłuchaj pani tonu ich rozmów, patrz pani na ich rysy zdecydowane, na ruchy śmiałe, celowe. A gdyby pani tak nieznacznie podpatrzyła ich w knajpie, w kawiarni, jaka w nich gościnność, szczerość i rycerskość wobec kobiet i dzieci. Naród, który taki lud posiada, zginąć nie może.

— Romek, pójdę z tobą? Pan tak dobrze charakteryzuje, że dla tych Krakowiaków zaczynam się godzić z Krakowem, bylem ich mogła widzieć i obserwować.

— Radzę pani, — mówił doktor, — zobaczyć wpierw obrazy Tetmajera. On doskonale podchwycił ruch i nastrój ich życia. Gdyby swego Krakowiaka ubrał nawet we frak i białą kamizelkę, to poznałbym w nim chłopa krakowskiego po jego ruchu zdecydowanym.

— Ale ja chcę żywych, nie na obrazach, — zaśmiała się Irena.

— I tych ujrzy pani w całym ich blasku, bo wiem, że przygotowuje się banderya krakowska, coś około ośmiuset Krakusów na koniach. I znów te konie i sposób dosiadania ich, prowadzenia, jak maluje temperament jeźdźca i konia! To wprost coś zadziwiającego, coś, czego się nigdzie, na całym świecie nie widzi... ale dość o tem. Czy interesujecie się państwo obchodem Grunwaldzkim?

— O tyle, o ile, — westchnęła Czajkowska, — wobec naszych kłopotów i zmartwień nie bierzemy takiego udziału, jakbyśmy chcieli.

— A pan, panie Romanie, nie należysz do jakiego komitetu? do sekcyi?

— Myślałem o tem, ale nie wiem, do kogo się zwrócić?

— To rzecz najmniejsza. Niech pan zajdzie do kancelaryi któregokolwiek z komitetów, wszędzie zostanie pan chętnie przyjęty.

Przy herbacie spytał doktor Irenę, co się dzieje z owym robotnikiem, który był w szpitalu.

— Wypisał się już od paru tygodni, stałej pracy jednak znaleźć nie może.

— A jaki jest stan jego zdrowia? — dopytywał się.

— Z każdym dniem lepszy; rwie się do roboty, od czasu do czasu zamiata ulice. I niech pan sobie wyobrazi, że nietylko żadnej pomocy nie przyjmuje, ale uciułał z tego marnego, niestałego za robku cztery korony i chciał nam oddać na rachunek pożyczonych mu pieniędzy.

— Dzielny chłop!

— Panie Romanie, gdy będzie pan w komitecie, łatwo może się pan wystarać o chwilowe zajęcie dla swego protegowanego. Za jakiś tydzień, dwa, cały Kraków będzie wrzał przygotowaniami do uroczystości, a cena rąk wzrośnie i trzeba korzystać z chwili... A z Warszawy nie spodziewacie się państwo gości? bo słyszałem, że mnóstwo osób wybiera się na ten obchód.

— Otrzymałem kilka listów z prośbą o zamówienie numerów w hotelu na ten czas, — odpowiedział Roman.

— Zamów pan wcześnie, bo zjazd zapowiada się bardzo liczny.

— Czy naprawdę tak dużo? — spytała Irena.

— Przypuszczalnie, przeszło sto tysięcy ludzi.

— I pomieszczą się tu? — zdziwiła się.

— W Krakowie, tak jak w dworach polskich, ściany się rozszerzają na przyjęcie gości.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł do nas, — odezwała się Czajkowska rozjaśniona, — inna otucha wstępuje we mnie, gdy słucham, że jednak ten Kraków posiada tak wielkie zalety. Już to samo, że jest on na wskróś polski, jak pan powiada, zniewala do zapomnienia jego braków i błędów.

— Mama może zapomnieć, bo żyje mama w Krakowie, ale nie z Krakowem — uśmiechnęła się Irena, — a ja nie zapomnę, że jest nudny, plotkarski, pełen hypokryzyi i przesądów.

— To pozory, panno Ireno, — bronił doktor, — bo świeżo przybyłemu najpierw rzuca się w oczy pasożytnictwo duchowieństwa, biurokracyi i wojskowości, ale pod tą powłoką jest ruch i życie.

Wszczęła się rozmowa o nowych prądach w literaturze i sztuce, wreszcie doktor ze względu na późną godzinę wyszedł.

Był to pierwszy weselszy wieczór od czasu przykrych przejść. Czajkowscy nie czuli się już tak osamotnieni i otoczeni niechętnymi.

— Doktor ma racyę, — rzekł Roman wesoło, — nie można tak kwaśnieć w domu i rozpamiętywać doznane przykrości, trzeba żyć życiem ogólnem.

— I co myślisz robić? — spytała matka.

— Pójdę do komitetu i zobaczę się ze znajomymi, których tak zaniedbałem.

— Pójdę i ja, — odezwała się Irena.

— A ty gdzie? — spojrzała na nią matka.

— Wiem, że zawiązał się komitet akademicki, może i ja przydam się na coś.

Nazajutrz Roman odczytał w dzienniku spis komitetów, podkomitetów, sekcyi powołanych do pracy przygotowawczej nad uświetnieniem obchodu grunwaldzkiego, a wśród mnóstwa nazw i tytułów nie mógł się zdecydować gdzie iść, komu ofiarować swe usługi.

Postanowił tedy poradzić się swoich dobrych znajomych, stale mieszkających w Krakowie, z którymi dawniej spotykał się na piwie.

Wszedł do wielkiej sali w porze, w której zwykle się zbierało znane mu towarzystwo i zastał przy długim, wązkim stole poszukiwanych, którzy powitali go wesołymi okrzykami.

Posypały się pytania bezładne:

— Gdzie byliście? Coście robili? Siadaj pan, — a chłopak przyniósł mu natychmiast bombę piwa.

— Cóż, panie dobrodzieju, orznął was żydowina? — przemówił Remberski, — ile też połknął ten żarłoczny rekin?

— Kaucyę moją, i nie wiem, co z niej uratuję.

— A dyabli pana skusili, — nachmurzył się Marski, — dodać żydowi tysiąc pięćset koron, jak mi dziś mówiono w sądzie.

— Co? — zawołał Remberski, — dodał pan?.. O, u was musi być tani pieniądz w Warszawie — kiedy pan karmi nim żydów.

— Tak wypadło, — rzekł Roman zmieszany, — zdawało mi się, że fabryka rozwija się i daje wielkie zyski, ale był to bilans sztuczny.

— Ile też pan otrzyma? — odezwał się Milczak, — mówią coś o trzydziestym procencie.

— Gadanie! — nachmurzył się Marski, — rozmawiałem z komisarzem upadłości, ledwie dziesięć procent otrzymają wierzyciele, a pan, jako zabezpieczony na parcelach budowlanych, otrzyma prawdopodobnie dwadzieścia pięć. I dlaczego nie ubezpieczył pan tak samo swej dalszej kaucyi hipotecznie.

— Spiegelman ofiarował mi zabezpieczenie na majątku żony, a tymczasem i jej majątek zrujnował doszczętnie przez swoje bankructwo.

— A bodajeś pan w konia wlazł! — zaklął milczący dotychczas Kanicki, — takiej naiwności nie spodziewałem się po panu. Zobaczy pan, że z chwilą pogodzenia się z wierzycielami, pokrzywdzona Spiegelmanowa kupi fabrykę i będzie dalej prowadziła interes.

— To więcej niż pewne, — potwierdził Remberski, — mam też wyrzuty sumienia, że przyczyniłem się niechcący do wzbogacenia żyda pańskiemi pieniędzmi i tego mi żal najbardziej.

— Tylko tego, a pana Czajkowskiego nie? — zadrwił Kanicki.

— Tak jest, pana nie żałuję. Pieniądze te naturalnie lepiej było stracić chociażby z nami, albo na przyjemne łajdactwo, ale żeby pakować w pełny brzuch żyda, panie dobrodzieju, na to trzeba było paść na głowę przy urodzeniu. Przepraszam pana, — wyciągnął rękę do Romana, — ale niech mię jasny piorun trzaśnie, jeśli się tego po panu, po Warszawiaku spodziewałem!

— Dziwny sposób okazywania współczucia, — skrzywił się z niesmakiem Kanicki, — mógłbyś używać przyzwoitszej formy.

— Nie każdy liznął arystokracyi, — zaśmiał się Remberski.

— Głupiś, — mruknął pogardliwie Kanicki.

— Czy do lustra mówisz? — śmiał się głośno Remberski, — nie potrzebujesz być tak otwartym.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Kanicki spytał poważnie Romana:

— Czy pan, jako nie tutejszy, nie zauważył, że u nas głupi dowcip bywa najgoręcej oklaskiwany?

— Pan Czajkowski, — odpowiedział Marski, — nie może się znać dobrze na złośliwości krakowskiej, zostaw to nam do osądzenia.

— A wiecie, — zaczął Remberski, — dziś rano przyszła do mnie jakaś małpa i zaczyna mi deklamować o gościnności, solidarności, patryotyczności...

a ja mu na to: udławię się przez te ości, mów pan prosto, czego chcesz? a ten dopiero ładnie, układnie, prosi o przyjęcie lokatora na czas obchodu.

— Cóżeś mu odpowiedział? — spytał Marski, bo i do mnie zgłosił się dzisiaj jakiś jegomość.

— Ja, panie dobrodzieju, mówię mu: Widzi pan ten szezlong? dam poduszkę, jakąś chaderę do nakrycia, niech legnie i śpi.

— Dobrześ zrobił, — pochwalił Milczak.

— Nie przerywaj, jeszcze nie skończyłem... powiedziałem mu też, że jeśli trzeba, to ja się prześpię na materacu, a łóżko mogę odstąpić. I wyobraźcie sobie, ta małpa zaczyna mi mówić o szczupłości funduszów i pyta, ile ja chcę? A niechże cię jasny piorun trzaśnie, panie dobrodzieju! To ty, kundlu, chcesz mi płacić? Za to, że ktoś się u mnie prześpi? — Czy on mi zeżre poduszkę? popsuje ściany?..

— Może jednak zawsze uszkodzić twe apartamenta i wspaniałe meble, — zadrwił Kanicki.

— Ty nie ostrz sobie języka na mojej habendzie, ja tam za elegancyą nie gonię i kurzów nie wydmuchuję jak ty, ale u mnie wygodnie, po gospodarsku. A ty, — zwrócił się do Marskiego, — ucapisz jakiego Sokoła?

— Powiedziałem, — uśmiechnął się Marski, — że trzech zamówiło się do mnie, a pomieści się czwarty, niech sobie włazi, co mi to szkodzi?

— I tak niema ciebie cały dzień w domu, a gościem jesteś w nocy, — zaśmiał się Kanicki.

— Bo szanuję i oszczędzam swoje mieszkanie. Ale wiecie, zjazd zapowiada się znakomity i będzie to wspanialsza manifestacya, aniżeli przy jubileuszu Kraszewskiego. Z całej Polski przedrozbiorowej napływają zgłoszenia. Polacy z Moskwy, z Petersburga, z Ameryki, a prócz tego reprezentacye wszystkich narodów słowiańskich.

— Taka manifestacya antiniemiecka, — rzekł Milczak z grymasem niechęci, — jest mojem zdaniem niewłaściwa. Poco nam drażnić Prusaków?

— Idźże im lizać łapy! — oburzył się Remberski, — a będą cię obwozili w klatce jako arcylojalnego Polaka.

— Nie irytuj sie, — uspokajał go Milczak, — tego zdania co ja, są i inni, poważni i bogaci ludzie.

— Wiem, wiem, — gorączkował się Remberski, — to są psubraty, wnuki tych psubratów, którzy nas zaprzedali w niewolę, ty mi o nich nie wspominaj, im śmierdzi lud, ulica, a pachną ordery i łapówki rządowe. Już oni doczekają się, że razem z żydami będą zdobili latarnie i suche gałęzie.

— Jaki ten Remberski gwałtowny, — mówił spokojnie Milczak, — z politycznych względów wydaje mi się taka olbrzymia manifestacya szkodliwą dla Poznańskiego, a swoją drogą, sam ofiarowałem dwa łóżka u siebie, więc czego wyzwierzasz się na mnie?

— Boś tchórzliwa dusza, lada Szwaba się boisz. Miarkuj tylko, jak my rośniemy w siły. Z początku walczy tylko szlachta pod Napoleonem i w powstaniu listopadowem. W 1863 mieszczaństwo rej wiedzie, a dziś na odgłos: Polska! biegną chłopi ze wszystkich stron Krakowa, ażeby zamanifestować swoją polskość. Rozumiesz, ty pało biurokratyczna?

— A ty co? nie urzędnik? — zaśmiał się Milczak.

— Dla mnie uważasz, urząd jest sposobem napchania żołądka, ale od duszy mu wara, i taki ja biurokrata, jak ty geniusz polityczny.

— Ciebie zawsze się koncepta trzymają, — uśmiechnął się słabo Milczak.

— Dobry żart tynfa wart! — zaśmiał się Marski. — A ty, Kanicki, pewno na cztery spusty zamykasz na ten czas twoje salony?

— Ty myślisz, że jesteś lepszy od drugich dlatego, że kilku przyjąłeś, którzy razem z tobą będą się objali po całych dniach i nocach. Ja mam gorszą biedę...

— Jaką? jaką? — pytali zaciekawieni.

— Zgłosił się do mnie kolega z żoną i trojgiem dzieci, — westchnął.

— No, babiszony w mieszkaniu, to koniec świata, — mówił poważnie Remberski i wyciągając rękę do Kanickiego: — współczuję z tobą, tyś ofiara, ale pociesz się, że kiedyś się odpłacisz, gdy wpadniesz na kark drugiemu z żoną i sześciorgiem dzieci.

— A niechże cię twój jasny piorun trzaśnie, pawianie jakiś, wpierw ja będę na twoim ślubie i będę ci do chrztu trzymał krzykliwe Remberszczaki.

— W tej materyi nie lubię żartów, — nachmurzył się Remberski, — i niech mnie jasny piorun trzaśnie, zanim zrobię jeden krok do ołtarza.

— A dlaczegóż mnie tego życzysz?

— Bo ty za ładną kiecką oczy wypatrujesz, a ja nie.

— Panie Czajkowski, — odezwał się Marski, — pan dużo gości oczekuje?

— Dotychczas nikogo. Dwóch znajomych zażądało zamówienia numerów w hotelu.

— Dziś pan już ich nie dostanie, — rzekł Milczak, — komitet zamówił wszystkie pokoje lepszych hotelów dla delegatów, zostają tylko pokoje prywatne.

— W takim razie przyjmę ich do siebie, jakoś się pomieszczą. I chciałem panów zapytać, gdzie mam się udać, ażeby wziąć czynny udział w przygotowaniach?

Zaczęły się długie narady i wreszcie zgodzono się, ażeby udał się do gmachu Sokoła, a tam wskażą mu sekcyę, w której potrzebują chętnych do pracy.

* * *

Na parę dni przed piętnastym lipca miasto przybrało wygląd świąteczny i uroczysty. Ze wszystkich domów powiewały sztandary, a okna i balkony przyozdabiano dekoracyami, tak że zdawało się, iż rynek i ulice przyległe, a zwłaszcza prowadzące ku Błoniom, przemieniły się w jakieś salony przyjęcia niezwykłych rozmiarów.

Gdzieś znikły i ukryły się głęboko wszystkie troski i kłopoty codzienne. Wszystkie twarze spotykane, od robotników do najwyższych dygnitarzy, były pogodne, jasne, biła z nich radość i wesele, a ruchy, postawy, chód wyrażały dziwną swobodę, jak gdyby ogłoszono i w czyn wprowadzone hasło równości, wolności i niepodległości.

Wśród snujących się tłumów oczy wszystkich zwracały się na Sokołów, którzy w tej pamiątkowej uroczystości rocznicy pogromu Krzyżaków i odsłonięcia pomnika Jagiełły, zwycięzcy z pod Grunwaldu, mieli wziąć wybitny udział.

Każdej godziny nadzwyczajne pociągi przywoziły uczestników z różnych stron Polski. Nieustannie rozbrzmiewała muzyka odprowadzająca delegatów na wyznaczone im kwatery.

Co chwila wśród tłumu publiczności przebiegały radosne wieści:

— Ze Frysztaku jedzie czterystu Ślązaków.

— Ze Stryja tysiąc osób.

— Z Kruszynka cała szkoła.

Wieści się mnożą, przez ulice przeciągają górale w swym pięknym stroju, roje chłopów polskich w sukmanach z nad Sanu i Dniestru. Idą Mazurzy, Sandomierzanie, Ślązacy i Ślązaczki w swych bufiastych spodnicach. — Z wszystkich stron zbiegły się dzieci Polski bez różnicy stanów, ażeby wziąć udział w chwale przeszłości i nabrać otuchy na przyszłość, która wszystkim zda się tak promienną i jasną, jak ten dzień przyjęcia i zjazdu gości w starym Krakowie.

Czajkowscy brali żywy udział w przygotowaniach. Roman i Irena po całych dniach byli za domem i wracali dopiero wieczorem, ale z jasnemi, uradowanemi twarzami, prześcigając się w opowiadaniu matce przyjemnych szczegółów o przybyłych gościach.

Na dwa dni przed właściwemi uroczystościami przybyło do Czajkowskich nietylko owych dwóch znajomych, ale jeszcze trzech innych, których na prośbę komitetu kwaterunkowego, musiał Roman przyjąć u siebie.

Prawda, że Czajkowska nie widziała ich po całych dniach, za to wieczorami było gwarno i huczno w ich mieszkaniu, i jak mówiła Irena żartobliwie:

— Dobrze będzie w ojczyźnie, bośmy się wszyscy zjednoczyli, — jeden z gości był z Litwy, drugi z Rusi, a trzeci z Wielkopolski.

W przeddzień właściwej uroczystości lunął deszcz rzęsisty i z tego powodu Irena przed wieczorem przyszła przemoknięta do domu. Zaledwie się przebrała, wszedł Lencki i zdziwiony stanął w pierwszym pokoju, widząc w nim dwa łóżka zasłane.

— Cóż to za koszary u państwa? — zaśmiał się, patrząc na Irenę.

— Zobacz pan u Romka, tam przejść nie można, ale to przyjemnie mieć tak miłych gości.

— Iluż ich jest?

— Pięciu, a nas troje, to razem osiem osób.

— Czy nie za wiele? nie męczy to pani Czajkowskiej?

— Wcale nie, — odpowiedziała wesoło sama Czajkowska, wchodząc do pokoju, — cieszą mnie ci goście, a najbardziej to, że pan nas odwiedził. Sądziłam, że pan już zapomniał o nas wśród tego zgiełku i radości.

— Byłbym może odłożył tę wizytę, ale mam dwa ważne interesy i do pań i do pana Romana.

— Proszę siadaj pan, pomówimy.

— Mamo, może przejdziemy do naszego pokoju, tu ciasno i nieład.

Gdy usiedli w sypialnym pokoju pań, zaczął doktor:

— Mam wiadomość równie ważną dla pana Romana, jak i dla pań, a drugi interes, to czy mają panie bilety na ćwiczenia Sokołów, będzie to w swoim



Przywitali go wesołym okrzykiem.

rodzaju jedyne widowisko, gdyż pięć tysięcy Sokołów bierze w niem udział.

— Prosiłam mamę, — spojrzała Irena z wyrzutem na matkę.

— Biletów nie mamy. To trudno, Irenko, ażebyśmy sobie pozwalali na zabawy, gdy Roman jest bez posady.

— Ale podobna uroczystość, mamo, zdarza się raz w życiu.

— Nie namówisz mię, Irenko. Czy nie mam słuszności, panie doktorze?

— Jako strażniczka rodziny ma pani zupełną racyę...

— Ja myślałam, — zawołała Irena, — że pan stanie po mojej stronie, a pan, jak zwykły filister, przedewszystkiem uwzględnia przeszkody.

— Czekajmy końca, jak mówił dobry Jonatan, — uśmiechnął się, — a gdyby pan Roman otrzymał posadę, czy strażniczka udzieliłaby pozwolenia?

— Co? ma pan dla Romana posadę? — zawołała matka uradowana.

— Prawie, ale wpierw zabawa, — zaśmiał się.

— Jeśli Romcio ma posadę, to idź już ty, Irenko na tych Sokołów.

— Ja bez mamy nie pójdę.

— Oto wzór córki, — podchwycił doktor, — bardzo słusznie panno Ireno. A ja nie powiem o posadzie, póki mama się nie zgodzi.

— Ileż to będzie kosztowało? — zafrasowała się, — nigdy nie spodziewałam się, ażeby pan był przeciwko mnie.

— A prawie zawsze tak bywa, że tylko przyjaciel popchnie nas w przepaść, bo od nieprzyjaciela mamy się na ostrożności. Ostatecznie, zgadza się pani, czy nie?

— Cóż mam robić, ulegam przemocy, tylko czy są jeszcze bilety?

— Pójdę, — wstała Irena, — może jeszcze znajdę, chociaż słyszałam, że bardzo wiele rozkupiono.

— Pośpiech zbyteczny, panno Ireno, teraz już ich pani nie dostanie, ale jeden z moich znajomych ma do odstąpienia kilka biletów, i dziś jeszcze poproszę go o nie, bo jutro byłoby za późno.

— Panie, a ta posada? Jaka ona? — spytała Czajkowska.

— Dokładnie nie wiem, tyle tylko co od pana Romana, że ma zostać zarządzającym jakiejś filii...

— Ależ to w Warszawie! — zawoła Irena, — a jemu wracać nie wolno.

— Panno Ireno, królowa Bona umarła, wie pani o tem? — zaśmiał się i zwrócił się do Czajkowskiej: — — otrzymałem pewną wiadomość, że pan Roman otrzyma w najbliższych dniach urzędowe pozwolenie powrotu do Warszawy.

— Panie, panie, czy to możliwe? czy pan nie żartuje? — zawołała niedowierzająco Czajkowska. — Skąd pan wie? czy to prawda?

— Najprawdziwsza, — sięgnął ręką do kieszeni i z listu odczytał: — W dniu dzisiejszym polecono konsulatowi we Lwowie za nr. 692 zawiadomić pana Romana Czajkowskiego o pozwoleniu powrotu wolnego i bezpiecznego do Warszawy. — A teraz wierzy pani?

— Jaki pan dobry, jaki pan kochany, — ściskała jego rękę, — i jakie to szczęście dla nas!

— A mnie bardzo miło być posłem tej wieści, ale nie mogę się z niej tak cieszyć jak pani, bo tracę bardzo miłe towarzystwo pań i pana Romana.

— Ale zyskujesz pan naszą szczerą przyjaźń i serdeczną wdzięczność — powiedziała Irena.

— Zbyt hojna zapłata dla posłańca — uśmiechnął się.

— O, nie! wiem co mówię, pan jeździł w tym celu do Warszawy, starał się pan o to i dlatego pan pierwszy otrzymał wiadomość o zniesieniu rozkazu wydalającego Romana z Warszawy. To przecież jasne, i niech się pan nie zapiera swej dobroci.

— Mniejsza z tem, co było, to było, ale naprawdę miło jest widzieć uradowanie pani Czajkowskiej, że skończyły się dni pokuty w Krakowie. Jutro idziemy na odsłonięcie pomnika, a pojutrze na ćwiczenia Sokołów.

— Czy prócz galicyjskich będą i inni Sokoli? — spytała Czajkowska.

— Są z Zagrzebia, z Czech, z Poznania...

— A nasi z Królestwa? — zawołała Irena, — czy będą, czy im pozwolą?

— Jestto tajemnica, którą sobie szepcą na ucho, oczekują ich przyjazdu, ale pewności dotychczas niema. Paniom przyślę bilety i spotkamy się na trybunie, — wstał.

(Dokończenie nastąpi)

Zdetronizowany władca.

Francya, objąwszy protektorat nad Marokkiem, osiągnęła wprawdzie znaczny sukces polityczny, dotychczas jednakże nie może ustalić swych rządów w tym kraju. Zwłaszcza sułtan Mulej Hafid, który ostatecznie zawarł z republiką układ o pretektorat, przysporzył Francyi wiele kłopotów. Uzyskawszy tron za pomocą rewolucyi, którą obalił swego starszego brata Abdula Azisa, kokietował stale, przez kilka lat swych rządów, naprzemian z Francyą i Niemcami. Ostatecznie pod naciskiem dyplomacyi francuskiej zgodził się, aby Francya objęła protektorat nad jego państwem, zastrzegł sobie jednak prawo rychłej abdykacyi oraz odpowiednie utrzymanie, na które zobowiązał się łożyć rząd francuski.

Przedtem jednak mimo pozornej przyjaźni z Francuzami pokierował tak wewnętrzną polityką Marokka, że dzisiaj ludność uważa tam Francuzów za najgorszych wrogów, a Mulej Hafida za ofiarę tyranii francuskiej. Dyplomacya francuska zoryentowała się o tyle w sytuacyi, że przez długi czas nie pozwalano Mulej Hafidowi abdykować — w obawie, aby fakt ten nie wywołał rewolucyi w kraju. Ostatecznie jednak musiano się na to zgodzić, i obecnie Mulej Hafid złożył koronę i na pociechę pojechał do Francyi. Rząd francuski wymógł jednak na ustępującym sułtanie, że następcą jego został nie jeden z małoletnich jego synów, co mogłoby wywołać przewroty w kraju, ale oddany Francyi Mulej Jussef. Protektorzy spodziewają się, że nowy sułtan, którego już oficyalnie proklamowano w Marokku, nie będzie zbytnio wtrącał się do rządów, i pozwoli Francyi z całą swobodą tam gospodarować.

Zdetronizowany sułtan Mulej Hafid, otrzymawszy na „otarcie łez" 400 tysięcy franków, we Francyi ratuje swe „nadwątlone zdrowie" i przebywa na kuracyi w Vichy. Rząd francuski wyznaczył mu na utrzymanie 375 000 frank. rocznie. Były władca Marokka będzie więc miał czem pocieszać się po utracie władzy i korony. Czy jednak znowu po nią nie sięgnie, przewidzieć trudno. W każdym razie Francya ma w nim sprzymierzeńca bardzo wątpliwej wartości.



Zdetronizowany władca: Nowy sułtan marokkański Mulej Jussef (X) na wizycie u generalnego rezydenta francuskiego w Fezie.

Uroczystości francusko-rosyjskie.

Wielka polityka miedzynarodowa ukrywa się starannie w cieniu gabinetów dyplomatycznych. Zewnętrznym, a nieuniknionym jednak objawem tych zakulisowych przesunięć na szachownicy politycznej są zjazdy i wizyty dyplomatyczne. Co było ich głównym celem i przedmiotem konferencyi — jest to ukryte zazwyczaj dla ogółu — niemniej przebieg i program tego rodzaju dyplomatycznych uroczystości rzuca pewne światło na współczesne konjunktury polityczne i ich najważniejsze problemy... Takie miała również znaczenie niedawna wizyta prezydenta gabinetu francuskiego i ministra spraw zagranicznych Poincaré'go w Petersburgu. Zaciemniony horyzont polityki europejskiej, na którym nie brak i groźnych chmur (wojna włosko turecka i zie-



Uroczystości francusko-rosyjskie: Prezydent francuskiego gabinetu Poincaré w Petersburgu: 1) rosyjski minister marynarki Grigorowicz, 2) kontroler państwa Charitonow, 3) angielski ambasador Buchanan, 4) minister handlu Timaszew, 5) minister spraw wewnętrznych Makarow, 6) rosyjski ambasador w Paryżu Izwolskij, 7) prezydent rosyjskiego gabinetu Kokowcew, 8) Poincaré, 9) minister spraw zagranicznych Sazonow, 10) Louis, francuski ambasador w Petersburgu, 11) Ochmistrz bar. Korff.



Kurs sokolski: Grupa uczestników kursu sokolego w Skolem z częścią kolonii skautów.



Kurs sokolski: Tyralierka w lesie.

jący znów ogniem wulkan bałkański) — wymagał bliższego porozumienia dwu sprzymierzonych państw w zawikłanych zagadnieniach polityki bieżącej. To też wizyta przedstawiciela rządu francuskiego nad Newą nosiła cechę wyraźnie polityczną. Toczyły się długie konferencye z przedstawicielami rządu rosyjskiego i z kierownikami rosyjskiej polityki, a jednocześnie odbył się cały szereg przyjęć i francusko-rosyjskich uroczystości, które były widomym znakiem wyniku tych konferencyi: zacieśnienia przymierza francusko-rosyjskiego i wzajemnego porozumienia Francyi i Rosyi w sprawach bieżącej polityki.

W czem się streszcza ostateczny bilans odwiedzin ministra Poincarego w Petersburgu, jest to dotychczas tajemnicą dyplomacyi. Nie ulega jednak wątpliwości, że uroczysty przebieg tej wizyty miał na celu nie tylko ustalenie głównych punktów wspólnej polityki, ale przedewszystkiem zadokumentowanie na zewnątrz niezamąconej niczem harmonii francusko-rosyjskiej...

W obecnych naprężonych stosunkach międzynarodowych taka demonstracya „przyjaźni" i siły dwuprzymierza jest bądź co bądź faktem znamiennym.



Zgon zasłużonego profesora: Kondukt pogrzebowy ś. p. prof. Alojzego Winiarza przed uniwersytetem we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kurs sokolski.

Podobnie jak w roku ubiegłym odbywa się obecnie w Skolem, miejscowości podkarpackiej, sokoli kurs dla wyćwiczenia sił nauczycielskich. Poprzednio w tej samej miejscowości urządzono kolonię skautową, której zadaniem było wyćwiczenie kierowników drużyn skautowych. Jedna i druga nauka, zorganizowana przez Związek sokoli, ma głównie na celu pogłębienie tej wielkiej idei, jaka obejmuje coraz szersze kręgi naszego społeczeństwa. Nowe kierunki pracy sokolej, wychodzącej po za ramy sal sokolich, są właśnie propagowane na kursie obecnym w Skolem. Urządzono tu formalny obóz i prowadzone jest prawdziwe życie obozowe. W program ćwiczeń wchodzi prócz gimnastyki, nauka strzelania, szermierki, pływania itp., a ponadto są wykłady z dziedziny hygieny, anatomii itp.

W dzisiejszym numerze podajemy kilka zdjęć, specyalnie sporządzonych dla „Nowości Illustrowanych", z życia sokolego kursu nauczycielskiego.

Zgon zasłużonego profesora.

Wszechnica lwowska znowu poniosła dotkliwą stratę. Przed kilku dniami zmarł znany profesor i były sekretarz uniwersytecki, Alojzy Winiarz.

Urodzony w r. 1868 we Lwowie, ś. p. Winiarz tam też odbywał studya, a następnie ukończył na Wszechnicy lwowskiej wydział prawniczy. Specyalnie poświęcił się badaniu prawa polskiego, a w dwa lata później rozszerzył zakres swych wykładów także na prawo prywatne niemieckie.

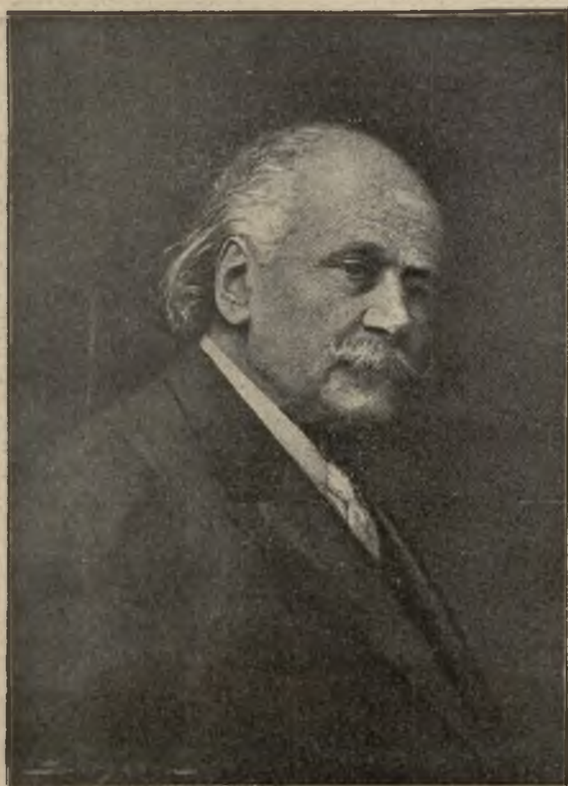
W r. 1901 został zamianowany sekretarzem Uniwersytetu i urząd ten sprawował przez lat osiem aż do roku 1908. Miał on bardzo trudne zadanie do spełnienia, gdyż na te lata przypadają najgorętsze czasy walk Rusinów o Uniwersytet lwowski. W r. 1907 w styczniu Rusini urządzili na niego w czasie promocyi napad. Kiedy dr. Winiarz w towarzystwie prof. Chlamtacza udawał się do auli, napadli na nich studenci ruscy i pobili ciężko dr. Winiarza, raniąc go w głowę. Wskutek tego zapadł dr. Winiarz na zdrowiu, nie chcąc zaś nadal być przedmiotem podobnych napaści, złożył sprawowany urząd. W r. 1909



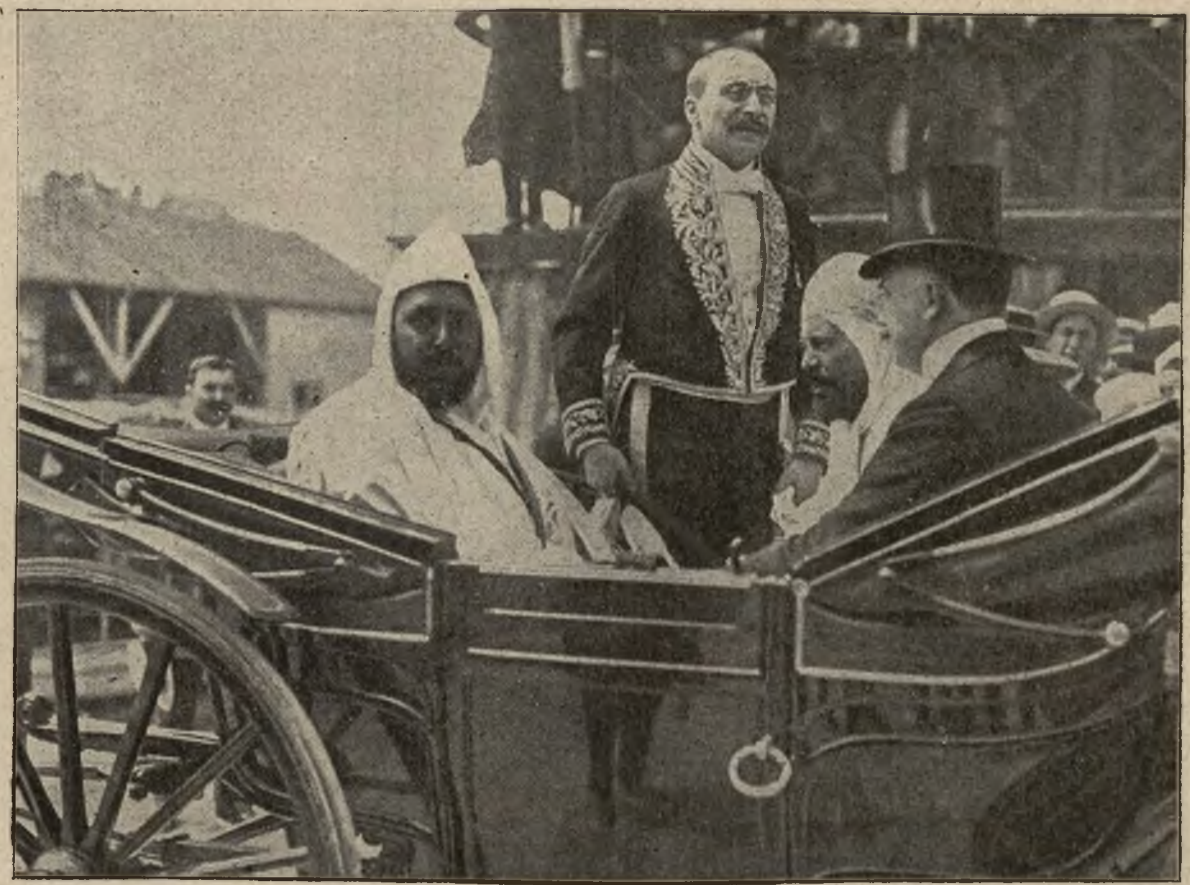
Kurs sokolski: Oddział strzelców.



Kurs sokolski: Uczestnicy kursu sokolego w Skolem ćwiczą się w szermierce.



Śmierć kompozytora francuskiego: Juliusz Massenet.



Zdetronizowany władca: Były sułtan marokkański Mulej Hafid w Marsylii.

objął kierownictwo archiwum namiestnictwa, zaś w r. 1910 został dyrektorem tegoż archiwum.

Słabe zdrowie ś. p. dr. Winiarza, podkopane przejściami w r. 1907, nie pozwoliło mu już długo pracować. Zmarł przed kilku dniami, osierocając żonę i córeczkę. Jak po śmierci stwierdzono, powodem choroby było właśnie załamanie czaszki, spowodowane uderzeniem podczas napadu w r. 1907.

Illustracye nasze przedstawiają podobiznę zmarłego oraz jego pogrzeb, który był poważną manifestacyą całego Lwowa.

Dyplomatyczna podróż.

Wewnętrzne położenie Turcyi, ciągłe zamieszki i przesilenia, zwróciły na ten kraj oczy całej Europy. Mocarstwa współzawodniczą już oddawna, które z nich ma mieć decydujący wpływ na politykę Turcyi. Do niedawna pierwsze miejsce miała Austrya, która pod pretekstem opieki nad Albańczykami i Macedończykami najsilniej oddziaływała na politykę turecką. Obecnie sytuacya się zmieniła o tyle, że ostatnia zmiana gabinetu wraz z osobami nowych ministrów na pierwszy plan wysunęła wpływ Anglii.

Mimo to wszystkie większe państwa europejskie pragną za wszelką cenę utrzymać się w roli opiekunów Turcyi i tem tłomaczy się ta ciągle ponawiająca się chęć zbiorowej interwencyi w toczącej się wojnie włosko-tureckiej. Turcya ze swej strony nie bardzo rada tej opiece. Aby wybadać właściwą opinię dworów europejskich co do ich zapatrywania na sprawy tureckie, wysłał sułtan obecnie następcę tronu Jussufa Izzedina, aby incognito złożył wizyty na wszystkich większych dworach europejskich i przy sposobności wybadał, co tam o Turcyi myślą. Jussuf Izzedin rozpoczął już swą podróż, a przed kilku dniami bawił trzy dni w Wiedniu w gościnie u cesarza austryackiego. Jak słychać, podróż ta stoi także w pewnym związku z rozpoczętymi już rokowaniami pokojowemi włosko tureckiemi.



Zgon zasłużonego profesora: Prof. i b. sekretarz Uniwersytetu lwowskiego ś. p. Alojzy Winiarz.

Śmierć kompozytora francuskiego.

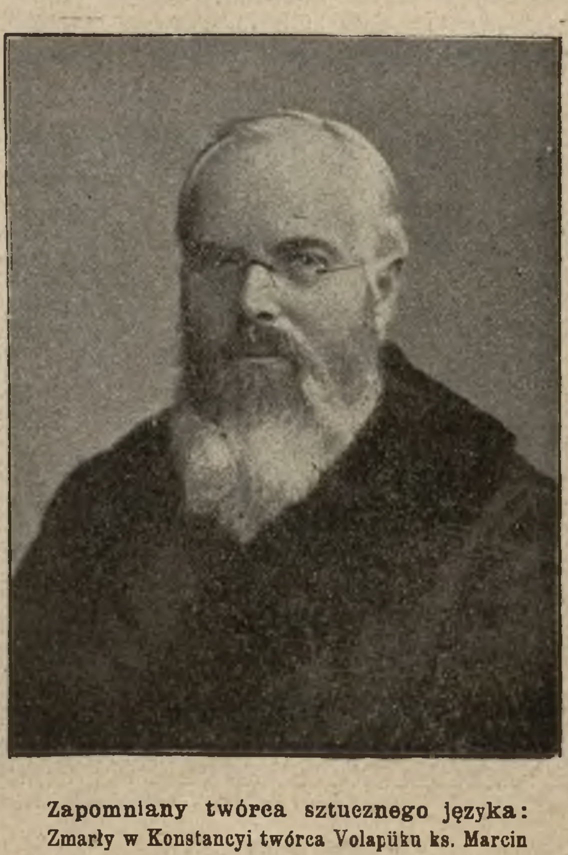
Przed kilkunastu dniami Francya straciła jedną z swych gwiazd muzycznych, której sława rozbrzmiała po całym niemal świecie. Zmarł znany muzyk i kompozytor Juliusz Massenet. Wielki następca Berlioza, Bizeta, Gounoda i Thomasa, wraz z Saint-Saënsem był przedstawicielem dawnej muzyki, pełnej liryzmu i miłości.

Wielki muzyk przyszedł na świat w Montaud koło Saint Etienne, jako syn odlewacza żelaza a byłego oficera wojsk Napoleońskich. Wśród wielkich trudności materyalnych ukończył paryskie konserwatoryum, gdzie w r. 1863 otrzymał wielką nagrodę rzymską. Po raz pierwszy wystawił w Opéra Comique jednoaktówkę „Ma Grand'tante" w r. 1867 i doznał niepowodzenia. Po raz drugi próbował szczęścia w r. 1872 wystawiając swego „Don Cezar de Bazan", ale także bez powodzenia.

Tryumfy jego rozpoczynają się dopiero od chwili,



Dyplomatyczna podróż: Turecki następca tronu Jussuf Izzedin (X) w Wiedniu.



Zapomniany twórca sztucznego języka: Zmarły w Konstancyi twórca Volapüku ks. Marcin Schleyer.

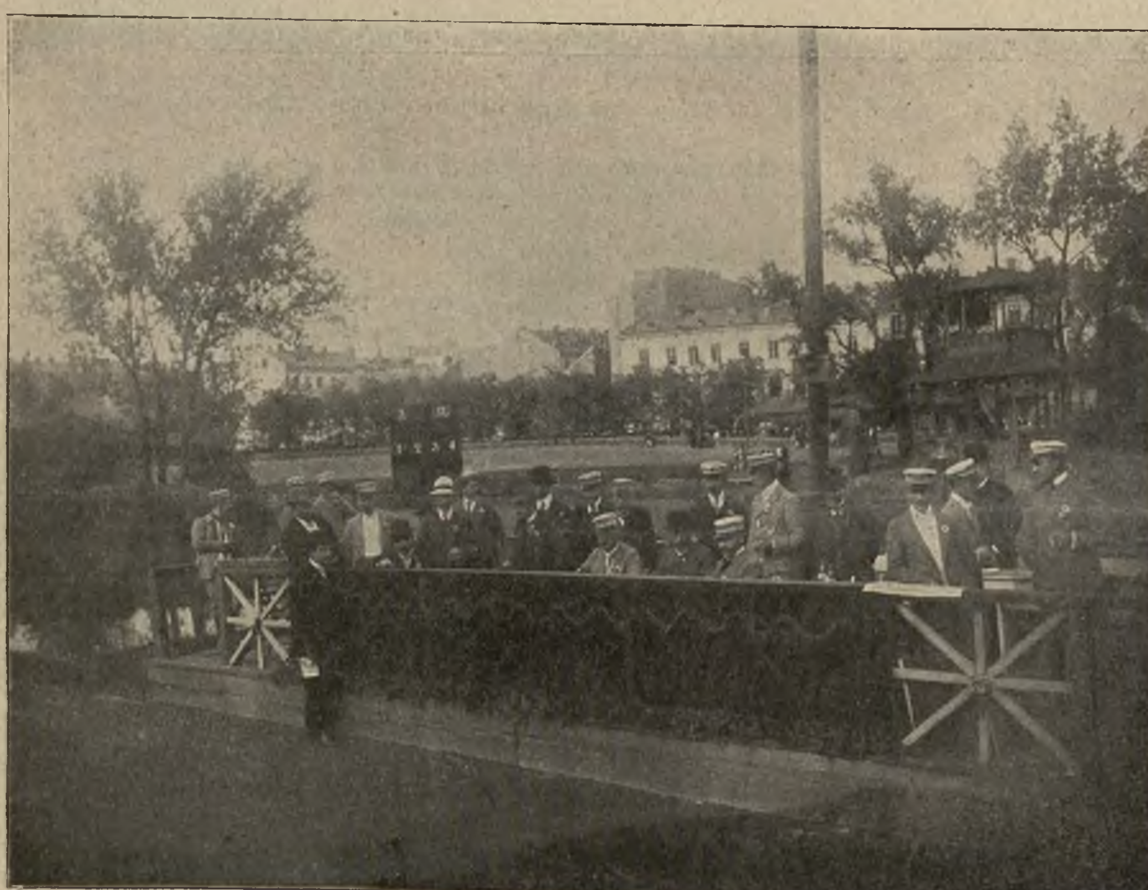


Z polskiej awiatyki: Przed wzlotem w Jaremczu.



Z polskiej awiatyki: Hr. Scipio del Campo na swym aeroplanie w Jaremczu.

gdy w Odeonie wystawiono jego „Maryę Magdalenę“, a w Wielkiej Operze dramat biblijny „Ewę“. Odtąd już kroczy po laurach tworząc coraz nowe opery i utwory muzyczne, które powoli zaczynają obiegać cały świat. Powstaje „Herodyada“ (1881), „Manon“ (1884), „Safo“ (1897), „Teresa“, „Roma“ i wiele innych. Najwięcej jednak rozgłosu dały mu opery „Manon“ i „Werter“. Pełne sentymentalnej melodyi, tak zgodne z naturą francuską, pod względem instrumentacyjnym zawsze skończone, uwieńczyły skroń pracowitego twórcy wawrzynem.



Życie sportowe w Warszawie: Wyścigi Warszaw. Tow. cyklistów: Trybuna sędziów. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Nie dbając o krytykę i jej przycinki, mistrz francuski pracował niestrudzenie do ostatniej chwili. Tworzył przy biurku, nie posługując się nigdy fortepianem. Szereg wybitnych muzyków francuskich, którzy wyszli z jego szkoły, opłakuje wraz z całym artystycznym światem zgon wielkiego twórcy.

Na służbie prawdziwej sztuki.

Słyszymy nieraz wiele o tak zwanych cudownych dzieciach, które prosto z kołyski zasiadają przy fortepianie lub chwytają za skrzypce. Wraz z ich uszczęśliwionymi rodzicami rozpływamy się nad niemi, po to tylko, by za rok lub dwa zapomnieć o nich zupełnie. Natomiast o prawdziwym talencie, tej iskrze bożej, która tak rzadko staje się udziałem śmiertelników, dowiadujemy się dopiero z pism zagranicznych, które nieraz więcej wiedzą o naszych rodakach, niż my sami...

To samo da się powiedzieć o młodym utalentowanym pianiście, Franciszku Łukasiewiczu, pochodzącym z Galicyi, którego zna Berlin i Wiedeń, i wyraża się o nim z najzupełniejszem uznaniem.

Młody artysta, urodzony w r. 1890, ukończył w Galicyi studya gimnazyalne z wyszczególnieniem, a następnie spędził cztery lata w Wiedniu, gdzie kształcił się w muzyce pod kierunkiem słynnego profesora Leszetyckiego, od którego otrzymał nader chlubne świadectwo.

Posiada wielki ton, nabyty w tej pierwszorzędnej szkole, olbrzymią zaś technikę nabył poważną i umiejętną pracą. Według zdania profesora Leszetyckiego i Godowskiego, ma nasz młody artysta wszelkie widoki, by wzbić się do wyżyn Rubinsteina lub Paderewskiego, od pierwszej bowiem młodości poświęcał się muzyce, najpierw pod kierunkiem swego ojca, a wybitnego, choć mało znanego pianisty-wirtuoza, a następnie u najznakomitszych mistrzów, którzy jednozgodnie uznali w nim talent pierwszorzędny.

W marcu bieżącego roku koncertował Łukasiewicz z wielkiem powodzeniem w Berlinie, obecnie spędza wakacye w Ischlu w towarzystwie profesora Godowskiego, w jesieni zamierza koncertować w Krakowie, Lwowie i Warszawie.



Życie sportowe w Warszawie: Wyścigi War. Tow. Cyklistów: Uczestnicy biegu dystansowego (26 okrążeń) ruszają ze startu. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Życie sportowe w Warszawie: Wyścigi Warsz. Tow. Cyklistów: start piechurów. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

22) Tłum. z francuskiego.

— Lub pani obecny kochanek — to wszystko jedno.

— Mój kochanek?

— Tak jest — niejaki Ferdynand Bagnel. Zwierzył się pani, że przegrał w klubie 50.000 franków i zażądał tych pieniędzy. Ponieważ pani ich nie miała, więc udała się pani po nie do doktora Vanesco.

— A gdyby nawet tak było? Co złego zrobiłam, prosząc dawnego przyjaciela o pieniądze?

— Nic złego, oczywiście, gdyby pani nie próbowała do otrzymania tych pieniędzy — środków zbrodniczych.

— Nie... nie rozumiem — wyjąkała Liana, tracąc pewność siebie.

— Zaraz pani zrozumie: proszę przeczytać ten list. — I sędzia podał jej list doktora Vanesco. Przeczytała go szybko, blednąc straszliwie. Później jednak odparła z nieudanem oburzeniem:

— Ależ ja nigdy nie widziałam tego, listu. Nie otrzymałam go wcale!

— Wiem o tem. Jednakże nie zaprzeczy pani, że do niej był pisany. Oto koperta z adresem, a tu jest list zawiadamiający o przybyciu doktora do pani. Proszę spojrzeć na znaczek pocztowy z pieczęcią.

— Ależ to jest jakiś podstęp moich wrogów, żeby mnie zgubić! Ten list jest sfałszowany. Wi dzi pan przecież, że jest zlepiony z kawałków.

— Nie poznaje pani pisma doktora Vanesco? Jest on dowodem, że pani jest wspólniczką zamierzonej zbrodni. Znajdujemy w nim odpowiedź na żądanie pani, by doktor Vanesco otruł swą żonę i podjąwszy sumę asekuracyjną — wypłacił z niej pani pewną okrągłą kwotę.

— Kto to powiedział? — krzyknęła Liana.

Pan de Charvet, nie zwracając najmniejszej uwagi na podniecenie oskarżonej, nacisnął guzik dzwonka, i rozkazał woźnemu:

— Wprowadzić pierwszego świadka.

Weszła pani Vanesco, wsparta na ramieniu swej siostry. Była śmiertelnie blada i nerwowo drżała. Pan de Charvet skłonił się jej z głębokim szacunkiem.

— Zechce pani powtórzyć nam całą rozmowę męża pani z tą panią.

Młoda kobieta westchnęła głęboko i opowiedziała zbolałym głosem rozmowę, jaką podsłuchała, ukryta za portyerą w salonie.

— Ta kobieta kłamie! Ta kobieta kłamie! — krzyknęła z wściekłością Liana.

— Przysięgam, że powiedziałam prawdę! — odrzekła pani Vanesco tak uroczyście, że pan de Charvet, jakkolwiek obyty ze scenami tego rodzaju, poczuł się silnie wzruszonym.

— Zechce pani łaskawie usiąść — rzekł — będę jeszcze korzystał z pani grzeczności.

I zadzwoniwszy na woźnego, kazał wprowadzić drugiego świadka.

Tym razem weszła Justyna Vernon. Na jej widok, Liana zerwała się z krzesła.

— Protestuję z góry przeciw wszystkiemu, co powie ta dziewczyna.

— Proszę nie przeszkadzać w badaniu — odparł surowo pan de Charvet. — Proszę pozwolić nam wysłuchać świadków.

Poczem zwracając się do pokojówki, zapytał:

— Czy to prawda, że słyszała pani, jak obecna tu panna de Valoys mówiła do doktora Vanesco: „Nie przestraszy mnie pan swemi oczyma... Mnie nie można zahypnotyzować...".

— Ja to mówiłam, ja? — zawołała Liana.

— Tak — odparła śmiało pokojówka — pani to mówiła.

Pan de Charvet zwrócił się teraz do pani Vanesco:

— Na szczęście, pani także słyszała te dziwne słowa i może pani to zaświadczyć?

— Tak jest — odparła młoda kobieta pewnym głosem.

— Nieprawda! — krzyknęła Liana z wściekłością... — Te kobiety kłamią!

— Proszę milczeć! — rzekł sucho sędzia i zwrócił się do Justyny Vernon.

— Czy to prawda, że panna de Valoys groziła doktorowi Vanesco, gdy jej odmówił pieniędzy, że pójdzie opowiedzieć panu szefowi bezpieczeństwa o pewnym sekrecie, co usłyszawszy doktor natychmiast zgodził się na jej warunki?

— Tak jest — odparła pokojówka.

— Kłamstwo! Kłamstwo! Nigdy nie było mowy o podobnych rzeczach między mną a doktorem.

— Co pani o tem powie? — zwrócił się sędzia do Zuzanny.

— Przysięgam, że słyszałam, jak ta pani groziła w taki sposób memu mężowi, który bardzo się tego przestraszył...

— Pani skłamała! — krzyknęła Liana świszczącym głosem.

Pani Vanesco powstała, chcąc zaprotestować, ale pan de Charvet powstrzymał ją.

— Ta kobieta nie jest w stanie obrazić pani. Co do mnie, wierzę absolutnie wszystkiemu, co pani zeznała.

Pisarz odczytał zeznanie pani Vanesco, która podpisała je.

— Zechce pani — rzekł pan de Charvet kłaniając się nisko — przyjąć me najgłębsze podziękowanie.

Zuzanna wyszła wraz z siostrą.

Po załatwieniu formalności przez Justynę Vernon, która z kolei podpisała protokół i wyszła, Liana powstała, sądząc, że badanie już ukończone.

— Pani pozwoli — rzekł sędzia, dając jej znak, żeby usiadła. — Chcę zadać pani jeszcze jedno pytanie. Fabrykantem mumii jest doktor Vanesco — nieprawdaż?

Liana zmieniła się na twarzy, ale szybko opanowała wzruszenie i rzekła z ironią:

— Pan sam doszedł do tego wniosku? Winszuję panu.

Pan de Charvet zauważył jednak, że głos jej drżał lekko, gdy to mówiła i czuł, że trafił dobrze. Zachęcające spojrzenie, jakie otrzymał od pana Ducroc — potwierdziło go w tem mniemaniu. Mówił więc dalej ze spokojem, który stanowił jego siłę:

— Nie, nie doszedłem sam do tego wniosku. Pani to przyznała w trakcie badania.

— Ja przyznaję tylko, że pan ma bujną imaginacyę i że nie mogę się, niestety, równać z panem pod tym względem.

— Ostatecznie — odparł pan de Charvet, lekko zirytowany — mamy na to dowody. Ten sekret, którego wyjawieniem groziła pani doktorowi, tak się go obawiającemu — czyż ten sekret nie jest dowodem?

— Ach! tak, sekret! dobrze, pomówmy o nim. Rzeczywiście, znam pewien sekret i groziłam doktorowi Vanesco...

— Dlaczegóż więc pani zaprzeczała temu przed chwilą?

— Dlaczego? także pytanie? Chociaż uważana tu jestem za kobietę zgubioną, nie chciałam mówić wobec osób obcych, zwłaszcza wobec kobiety o brzydkich sprawkach mego dawnego przyjaciela. Panom zaś mogę powiedzieć, to co innego.

— A więc! A więc! Jakiż to sekret?

— Ach! poprostu brzydka sprawa ze sztucznem poronieniem. Chora umarła.

— Dowody?

— Znajdą je panowie w papierach, zabranych z mego biurka. Są tam i nazwiska.

— Dobrze, sprawdzimy to.

— Proszę sprawdzać, to panów specyalność! — odparła Liana z goryczą i pozwoliła się spokojnie wyprowadzić.

— No i cóż pan na to? — zapytał sędzia, patrząc na pana Ducroc z niepokojem.

— Wszystko to wierutne bajki!

— Do licha! Ale niech pan sprobuje dowieść.

— Jest bardzo prosty sposób — zapytać o to doktora Vanesco.

ROZDZIAŁ XV.

Doktor Vanesco.

Vanesco wszedł pewnym krokiem, z podniesioną głową, nieco blady, ale z uśmiechem na twarzy i skłonił się urzędnikom z właściwą sobie elegancyą.

— Szczęśliwy jestem — zaczął tonem, w którym brzmiała źle ukryta ironia, — że pana widzę, panie szefie bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że przyjaźń pańska dopomoże mi w tej przykrej pomyłce.

— Nie może być mowy o przyjaźni między nami — odparł chłodno pan Ducroc.

— A to dlaczego? — zapytał Vnnesco z doskonale odegranem zdziwieniem.

— Dlatego, że pan jest oskarżonym, a ja pana sędzią.

— Oskarżonym? I o co, jeśli wolno wiedzieć?

— Zdaje mi się, że nie potrzebuję tłumaczyć tego panu.

— Chciałbym jednakże usłyszeć o tem z pana ust.

— A więc dobrze. Został pan złapany na gorącym uczynku usiłowania otrucia własnej żony.

— A więc i pan wierzy w ten niestosowny żart — zapytał lekarz, wzruszając ramionami.

— Mamy na to dowody.

— Ach! dowody! I jakież — naprzykład?

— Po pierwsze moi ajenci pochwycili pana w chwili, gdy wlewał pan...

— Kilka kropli chloralu do szklanki mojej żony. Bardzo niewinny środek. Od jakiegoś czasu żona skarżyła się na bezsenność i uważałem za potrzebne podwoić dozę.

— Pan nie chloral wlewał, lecz truciznę.

— Więc niech zrobią analizę wody! — krzyknął Vanesco z pewnością siebie. — Jestem spokojny o jej wynik.

— Dlatego, że analiza nie jest w stanie wykazać tej trucizny.

Vanesco zadrżał.

— W takim razie — rzekł śmiejąc się wymuszenie — nic nie rozumiem. Może pan mi zechce to wytłumaczyć.

— Niech pan przeczyta ten list — odparł poprostu pan Ducroc.

Vanesco posiniał. Zrozumiał, że był złapany. Niepodobna było zaprzeczyć. Stał przez chwilę, milcząc, oszołomiony.

— No i cóż? — zapytał szef bezpieczeństwa. — Czy pan poznaje swój list?

— Tak — odparł przez zęby oskarżony.

— Przyznaje pan, że pisany był do panny Liany de Valoys, pana kochanki?

— Nie byłoby sensu zaprzeczać temu, bo pan ma kopertę.

— Bardzo dobrze! Więc przyznaje pan, że ta kobieta jest pana wspólniczką?

— To zależy od znaczenia, jakie nadamy temu słowu. Jeżeli rozumiemy przez to, że Liana wiedziała o moich projektach — przyznaję to. Jeśli, przeciwnie chce pan powiedzieć, że podsunęła mi tę myśl, zaprzeczam temu stanowczo.

— W takim razie, co znaczą te słowa: „Jestem ci posłuszny, Liano.

Argument był silny — Vanesco zrozumiał to. Nie mógł sobie darować teraz, że napisał ten przeklęty list. Ale było już zapóźno. Trzeba teraz ratować Lianę. W przeciwnym razie — może ona poczynić zeznania, które zgubią go zupełnie.

— Mój Boże! napisałem te słowa, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem... Trzeba rozróżniać...

— Zły wykręt — przerwał żywo pan Ducroc. — Pozatem, miał pan ze swą kochanką pewną rozmowę, która potwierdza znaczenie tych słów listu. Kiedy ta kobieta przyszła do pana, żądając pieniędzy, których pan nie miał — myśl zbrodni może już kiełkowała w panu, ale był to jeszcze projekt mglisty — i dopiero pod wpływem jej namów, zdecydował się pan.

— Kto to powiedział?

— Pana żona, jeżeli pan pragnie wiedzieć.

— Moja żona! — zawołał z ruchem lekceważenia i politowania. I pan wierzy zeznaniom mojej żony? Nieszczęśliwa! Trzeba jej wybaczyć. Sama nie wie, co czyni. Śmierć ojca wstrząsnęła nią tak silnie, że w pewnych chwilach jest niepoczytalną. Podlega halucynacyom, które bierze za rzeczywistość.

— Pozwoli pan, że nie będę temu wierzył — odparł pan Ducroc, wzruszając lekko ramionami. — Co do panny de Valoys — to broni jej pan, obawiając się jej zeznań. Zapóźno — ona już mówiła. Doktorze Vanesco, pan jest Fabrykantem mumii!

Cios był wymierzony tak zręcznie i spadł na doktora Vanesco tak niespodziewanie, że przez krótką chwilę zapomniał o panowaniu nad sobą i uwierzył, że jego kochanka zdradziła go, żeby siebie obronić. Ale szybko opanował wściekłość, jaką napełniła go ta wiadomość — wybuchnął śmiechem.

— Tylko tyle powiedziała ta kochana Liana, żeby mnie skompromitować? — zapytał z szyderstwem. — Chciałbym bardzo zobaczyć się z nią, żeby powinszować jej nadzwyczajnej imaginacyi. Czy nie mogliby panowie skonfrontować nas?

— Uczynimy to w stosownej chwili.

— A dlaczego nie zaraz?

— Teraz mamy do załatwienia inne sprawy, niemniej ważne.

Chociaż zakłopotanie pana Ducroc było bardzo nieznaczne, nie uszło ono jednak uwagi doktora Vanesco, który był zanadto sprytny, żeby nie wyciągnąć z tego odpowiednich wniosków.

— Liana nic nie powiedziała — pomyślał — byłem tego pewny.

Poczem, udając, że nie rozumie odpowiedzi pana Ducroc, zapytał:

— Jakież to sprawy, jeśli wolno wiedzieć?

— Czy może mi pan wyjaśnić, co znaczą te słowa, wypowiedziane do pana przez jego kochankę w dwu różnych okolicznościach: „Pan mnie nie przestraszy swemi oczyma, pan wie, że nie ma pan nademną władzy i nie potrafi mnie pan zahypnotyzować, jak innych“. Dalej, jaka to była tajemnica, której wyjawieniem groziła panu panna de Valoys? Proszę nam to wyjaśnić.

— Owszem, mogę to uczynić teraz, kiedy nie mam nic do stracenia. A więc przyznaję z wielkim wstydem, że nie byłem gentlemanem, za jakiego dotąd uchodziłem w świecie paryskim. Pewnej nocy w jakiejś jaskini gry, gdy groziła mi wielka przegrana, złapano mnie na używaniu fałszywych kart. Sprawa została zatuszowana, dzięki temu, że zapłaciłem za milczenie kolosalne sumy.

— Sprawa karciana! — rzekł pan Ducroc, rzucając szybkie spojrzenie na sędziego śledczego, biorąc go w ten sposób na świadka, że oświadczenie doktora nie zgadzało się z zeznaniami jego kochanki.

Poczem dodał, uszczęśliwiony tą sprzecznością:

— I to wszystko?

— Nie — odparł smutnym głosem Vanesco, który dojrzał porozumiewawcze spojrzenie szefa bezpieczeństwa. — Nie — powiedziałem panom, że są liczne tajemnice. Co do innych, były to pewne operacye chirurgiczne, niedozwolone prawnie, z których parę skończyło się śmiercią.

— Niech pan będzie ścisły.

— Nie — odparł stanowczo Vanesco — nie chcę nikogo kompromitować.

— Doskonale. Muszę jednak uprzedzić pana, że mamy w ręku korespondencye pana z Lianą de Valoys i tam znajdziemy nazwiska.

— Niech tak będzie. W każdym razie ja tajemnicy fachowej nie zdradzę.

Pan Ducroc chciał zakończyć badanie, w którem został pobity na głowę na własnym terenie. Rzekł więc głosem, w którym wbrew jego woli brzmiało rozczarowanie.

— Dosyć na dzisiaj. Dziękuję panu. Straż — odprowadzić oskarżonego do jego celi.

Vanesco skłonił się elegancko z ironicznym uśmiechem na ustach i wyszedł z pokoju.

— Niepodobna było zadrwić sobie z nas z większą bezczelnością — rzekł pan de Charvet, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Zobaczymy, kto z tego w końcu zadrwi — odparł szef bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ XVI.

Sąd.

Rozprawa sądowa została wyznaczona na październik. Zgłoszenia na karty wstępu wpływały w takiej ilości, że prezydyum sądu nie było w stanie wydać nawet połowy. Cały Paryż chciał być na rozprawie — wszyscy chcieli słyszeć obronę doktora Vanesco i dowiedzieć się szczegółów o Fabrykancie mumii.

Wreszcie upragniony dzień nadszedł. Sala rozpraw sądowych była przepełniona.

Wprowadzić oskarżonego — rozkazał przewodniczący sądu głosem poważnym i zimnym.— Vanesco wszedł, otoczony strażą. Dreszcz przebiegł po obecnych na sali. Wszystkie spojrzenia zatrzymały się na oskarżonym. Vanesco jednak, zdając się nie zauważać tego — szedł pewnym krokiem i usiadł spokojnie na swem miejscu. Był nieco bledszy niż zazwyczaj, ale nie okazywał śladu najlżejszego wzruszenia. Usiadłszy, spojrzał przelotnie po sali i poznał siedzących w najbliższych rzędach Barsac'a, reportera i panią Barthès, która zaczerwieniła się i ukryła twarz za wachlarzem ze strusich piór.

— Oskarżony, proszę wstać!

Rozpoczęła się rozprawa o usiłowanie otrucia pani Vanesco. Oskarżony przyznał się do wszystkiego, usiłując jedynie obronić Lianę. Zeznania jednak Justyny Vernon, a zwłaszcza Zuzanny Vanesco, które rej ukazanie się na sali zrobiło ogromne wrażenie, zgubiły Lianę.

Sąd przeszedł do drugiej sprawy: Czy doktor Vanesco był Fabrykantem mumii?

Rozpoczęto od przesłuchania całego szeregu świadków. Pierwszy zeznawał portyer lecznicy Colleta, który przysięgał na wszystkie świętości, że nigdy nie wspominał Sebastyanowi Blanc o nocnych wizytach doktora Vanesco. Dalej zeznawali zapalacz gazu, roznosiciel mleka, doktor Benedix, Leymann, żaden z nich jednak nie powiedział nic, co mogłoby oskarżać doktora Vanesco. Jedynie wszyscy zgadzali się na jedno, że Fabrykant mumii miał rudą brodę.

Jeden z sędziów wstał i rzekł:

— Proponuję zrobienie próby — niech przyniosą rudą perukę i brodę i niech oskarżony je włoży.

Propozycyę przyjęto, przyniesiono żądane przedmioty i Vanesco włożył je bez wahania. Ale i to nie pomogło. Żaden ze świadków nie poznał w nim Fabrykanta mumii. Oglądali go na wszystkie strony i jedni twierdzili, że „tamten“ był wyższy, inni, że niższy, inni znowu, że tęższy. Vanesco tryumfował, na sali rozległy się oklaski.



— Kto to powiedział? — krzyknęła Liana.

Powstał prokurator i po wygłoszeniu mowy zażądał kary śmierci!

Młody i sławny adwokat Duroy w swej przemowie zbił punkt po punkcie całe oskarżenie. Sędziowie udali się na naradę. Trwała ona z górą dwie godziny. Około północy powrócili do sali. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nich, pragnąc odgadnąć wyrok. Ale z twarzy sędziów nie można było wyczytać nic, prócz szalonego zmęczenia rozprawą, która trwała z górą piętnaście godzin.

Nastała głęboka cisza, gdy przewodniczący sądu wystąpił, aby przeczytać rezultat narad.

Liana została uznana współwinną zbrodni usiłowania otrucia, bez okoliczności łagodzących.

Co się tyczy Vanesca, sąd miał rozstrzygnąć dwa pytania.

Pierwsze: Czy Vanesco był winien zbrodni usiłowania otrucia swej żony. Na pytanie to odpowiedziano jednogłośnie: Tak, bez okoliczności łagodzących.

Drugie: Czy Vanesco był Fabrykantem mumii? Odpowiedziano ośmiu głosami przeciwko dwunastu: Nie.

Ta ostatnia odpowiedź wywołała szemranie wśród publiczności, choć można było spodziewać się jej po świetnej obronie pana Duroy.

Na rozkaz przewodniczącego sądu wprowadzono oskarżonych, aby przeczytać wyrok.

Liana została skazaną na dziesięć lat więzienia.

Usłyszawszy to, krzyknęła rozpaczliwie i upadła bez zmysłów na ręce pilnujących ją żołnierzy, którzy wynieśli ją z sali.

Vanesco zaś był skazany na dożywotnie ciężkie roboty.

Wysłuchał swego wyroku w milczeniu, z twarzą spokojną, trochę bledszy może tylko, niż zazwyczaj.

Gdy przewodniczący sądu oznajmił mu według zwyczaju, iż ma trzy dni do rozporządzenia, gdyby chciał zaprotestować wyrok, odpowiedział:

— Dziękuję panu, lecz nie skorzystam z tego przywileju.

Poczem ukłonił się pogardliwie sędziom i całemu tłumowi, który go wczoraj jeszcze ubóstwiał, a dziś przeklinał i wyszedł z sali w towarzystwie pilnujących go strażników.

ROZDZIAŁ XVII.

Zbliżająca się śmierć.

Cela w centralnym szpitalu więziennym w Sorgues en-Parisis. Ściany, wysokie na pięć metrów, pokryte warstwą białego, błyszczącego lakieru. Posadzka woskowana cztery metry szerokości na trzy długości. Pośrodku jednej ściany przymocowany do niej na zawiasach mały składany stolik z białego drzewa z przyborami do pisania. Przed nim krzesło, nad nim lampka elektryczna.

We drzwiach celi, — która nic nie pozostawia do życzenia pod względem czystości i hygieny, — znajduje się małe okienko, służące do podawania jedzenia więźniowi; nad niem zaś zrobiono mały otwór, przez który dozorca pilnuje tegoż więźnia.

Światło wchodzi do pokoju przez duże, wysokie okno, zaopatrzone z zewnętrznej strony w kraty, które jedynie przypominają, że jesteśmy w więzieniu.

Przy drugiej ścianie stoi etażerka z ułożonemi na niej przyborami do toalety i żelazne łóżko.

Na łóżku tym leżał człowiek zmieniony nie do poznania. To doktor Vanesco, który zaraz po wyroku rozchorował się tak ciężko, że zamiast do więzienia na wyspie de Ré, przeniesiono go do szpitala.

Ostatniej nocy stan chorego tak się pogorszył, że felczer przypuszczał, że to już koniec.

Wczesnym rankiem przyszedł lekarz więzienny i rzuciwszy okiem na chorego, mruknął:

— Biedaczysko, prędko przestanie już cierpieć!

Vanesco otworzył oczy i odparł szeptem:

— Ach, to pan, doktorze, ma pan słuszność. Źle ze mną, bardzo źle.

Poczem wpatrując się niespokojnie w lekarza zapytał:

— To już koniec, prawda?

Lekarz zaprzeczył ruchem.

— Ach, — rzekł Vanesco, siadając nagle na łóżku — dlaczego pan nie mówi prawdy? Jestem zgubiony, czuję to dobrze. Za często widywałem zbliżającą się śmierć, żebym się mógł pomylić.

— Nigdy nie należy tracić nadziei.

— Nie, nie! Niech mnie pan nie zwodzi! Błagam pana, niech mi pan powie prawdę! Muszę ją znać. Ile dni pozostało mi jeszcze?

Doktor opuścił głowę i milczał, nie będąc w stanie wypowiedzieć wyroku śmierci.

— Ile? — nastawał Vanesco gorączkowo. — Dwa, trzy, cztery?

— Zanim tydzień upłynie, przestanie pan żyć, — odparł doktor głuchym głosem. — A być może, że pan nie przeżyje tej nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa w Staszowie.

Ważne znaczenie dla rozwoju rolnictwa i przemysłu mają wystawy, które z jednej strony są przeglądem wytwórczości krajowej, a z drugiej — poglądową szkołą racyonalnej pracy, czy to na roli, czy w przemyśle... Takie dydaktyczne znaczenie ma niewątpliwie otwarta w tych dniach w Staszowie (w Król. Pol.) wystawa rolniczo przemysłowa.

Wystawa, mieszcząca się na 17-morgowym placu, obejmuje liczne eksponaty z działu rolnictwa i hodowli bydła, wyrobu maszyn rolniczych i przemysłu ludowego. Na wystawie urządzono też pola doświadczalne, oraz szkółki leśne i drzew owocowych.

Otwiarcia wystawy dokonano bardzo uroczyście w obecności licznego grona ziemian, oraz tłumów włościaństwa. Po przemówieniu prezesa wystawy ks. Macieja Radziwiłła, a następnie ks. dziekana Puławskiego i wiceprezesa wystawy pana Orsettiego, księżna Radziwiłłowa przy dźwiękach orkiestry strażackiej przecięła zamykającą wejście wstęgę.

Wystawa, obesłana bardzo obficie i urządzona wzorowo, wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród ludności włościańskiej, która tam wiele może się nauczyć. Dość zaznaczyć, że w pierwszych dwóch dniach zwiedziło wystawę około 16,000 włościan, przybyłych nie tylko z bliższych, ale i dalszych okolic. Jest to najlepszym dowodem kulturalnego znaczenia wystawy.



Wystawa w Staszowie: Członkowie komitetu wystawy.



Wystawa w Staszowie: Przed otwarciem wystawy przemawia Maciej ks. Radziwiłł.

(Fot. M. Fuks, Warszawa).

Zapomniany twórca sztucznego języka.

(Do illustracyi na str. 9).

Między wielu próbami stworzenia sztucznego języka międzynarodowego jedno z wybitniejszych miejsc zajmuje „Volapük“, który przed kilkunastu laty był równie popularny, jak dziś jest „Esperanto“. Posiadał nawet w Wiedniu własną katedrę. Twórca tego sztucznego języka, ks. prałat Marcin Schleyer, który przeżył swoje dzieło, zmarł w tych dniach w zupełnem prawie zapomnieniu.

Zapalony lingwista, ks. Schleyer zdumiewał łatwością, z jaką przyswajał sobie obce języki. Mówił dobrze 25 językami, tj. wszystkimi europejskimi, ważniejszymi azyatyckimi i afrykańskimi. Zachęcony przedtem przedsiębranymi próbami stworzenia języka międzynarodowego, skonstruował sam taki język i zazwał go „Volapük“. Propagandę rozpoczął w r. 1879 i w kilka lat zyskał olbrzymi rozgłos i uznanie. Niestety praca jego nie długo cieszyła się powodzeniem. „Volapük“ wnet stracił swe znaczenie, gdyż okazał się w użyciu niepraktycznym i za trudnym.

Wiadomość o śmierci prałata Schleyera, który zakończył życie w Konstancyi nad jeziorem Bodeńskiem, doszła do Krakowa prawie w czasie obrad kongresu esperantystów.

Twórcy „Momusa“ w Krakowie.

W teatrze na Wystawie architektonicznej w Krakowie wystąpią w bieżącym tygodniu (we czwartek i piątek) dwaj sympatyczni goście: twórcy i główni wykonawcy warszawskiego „Momusa“, pp. Alfred Lubelski i Zygmunt Trojanowski, których popisy kabaretowe cieszyły się tak niezwykłem powodzeniem w Warszawie. Korzystając z przejazdu ich przez Kraków, Komitet wystawy postanowił urządzić dwa „wieczory pieśni i satyry“, na program których złożą się najlepsze „momusowe“ numery... Sława, jaką zdobyli już ci dwaj „urodzeni kabareciści“ w Warszawie — nie pozwala wątpić, że Kraków pospieszy tłumnie na Wystawę, aby ubawić się „pieśniami i satyrą“ sympatycznych twórców Momusa...



Na służbie prawdziwej sztuki: Pianista-wirtuoz, Franciszek Łukasiewicz. (Do art. na str. 10).



Wystawa w Staszowie: Nabożeństwo polowe na intencyę wystawy. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Nie pomoże i święty Boże — wakacye się już skończyły, czas słomianego wdowieństwa minął bezpowrotnie, w Krakowie ruchliwie i gwarno. Zjechały ze wszystkich stron mamy ze swemi pociechami rodzaju żeńskiego i męskiego, szukają dla nich odpowiednich stancyi, zaopatrują je w najrozmaitsze potrzebne i niepotrzebne przedmioty.

Kupcy zacierają ręce, co nie poszło w czasie kongresu esperanckiego, sprzeda się teraz, to też w każdem niemal oknie wystawowem widzisz ogromny napis: Niebywała okazya!! Wyprzedaż poniżej cen fabrycznych!!

A jak się robi podobna wyprzedaż, to ja zaraz Państwu opowiem.

Gdy się zbliży odpowiedni czas, kupiec wyciąga z różnych kątów drobiazgi, które dotąd nie poszły i bada pilnie ich cenę.

— Ile nas to kosztuje? — pyta pomocnika.

— Trzy korony — odpowiada zagadnięty. — Szło dotąd za pięć koron!

— Dobrze!.. Napisz pan kartkę: Dawniej ośm koron, obecnie cena zniżona s z e ś ć k o r o n!

A poczciwi ludziska dają się brać na to i pewni są, że zrobili tak zwany majland, to jest znakomity interes, a to tymczasem tylko kupiec go zrobił!...

Dlatego też oni jeżdżą przeważnie automobilami, my zaś chodzimy piechotą i dziękujemy Bogu, że mamy jeszcze jakie takie buty, zdaje się bowiem, że niedługo już nadejdzie czas, iż przyjdzie się obyć bez nich i chodzić na... bosaka.

Słomiani wdowcy są wściekli!

Nie dość, że trzeba się pożegnać z dwumiesięczną swobodą, musi się gruntownie wyczyścić i uporządkować mieszkanie, by żona po powrocie nie znalazła przypadkiem jakiegoś *corpus delicti*, któreby ściągnąć mogło gromy na głowę niewinnego małżonka.

Bardzo praktycznie urządzają się też ci, którzy po ukończeniu porządkowania zapraszają komisyę złożoną z przyjaciół i proszą ich, by rozglądnęli się po mieszkaniu, czy nie znajdą czegoś podejrzanego.

Ja sam w ubiegłym tygodniu oddałem tę koleżeńską przysługę trzem znajomym. U dwu zastałem wszystko w porządku, u trzeciego (a powiem w sekrecie, że był to radca miejski), wyciągnąłem z tryumfem z pod kanapy czerwoną, jedwabną damską podwiązkę...

W pierwszej chwili myślałem, że to może insygnia orderu Podwiązki, o ile jednak wiem, w Krakowie niema ani jednego prawdziwego Anglika (choć wielu z nas w młodości przeszło angielską chorobę...), a order ten przeznaczony jest tylko dla rodowitych Anglików i dla głów koronowanych.

Pokazuję ją więc gospodarzowi i pytam:

— A to co?

Zbaraniał w pierwszej chwili, potem zaczął się namyślać, wreszcie rzekł, jakby do siebie:

— Psiakrew! Gdyby to stara moja była znalazła, miałbym się dopiero z pyszna! Dziękuję ci serdecznie, wyratowałeś mnie z nieszczęścia... Ale, kto do dyabła mógł ją tu zostawić... Helka?.. Nie!.. Aha! Już wiem, to ta panienka, która przychodziła prosić o protekcyę... Daj braciszku, muszę biedaczce odnieść. Jakże będzie chodzić w jednej podwiązce!..

Rzecz prosta, że po komisyi pociągnęliśmy sznurkiem „pod Obraz“, radca w ten sposób chciał nam uiścić koszta komisyjne. Zabawiliśmy tu do wieczora, narzekając na ciężkie czasy i na koniec wakacyi.

Dotąd wymyślał każdy na kanikułę i czas ogórkowy, dziś nie miałby nic przeciw temu, gdyby ten sezon przeciągnął się jeszcze bodaj ze dwa miesiące.

Niestety, tak nie będzie... Każdy z nas powtarza ze smutkiem *Hannibal ante portas*, co się na polskie tłumaczy: Kochana małżonka będzie tu już jutro!

A profesory wszelkiego rodzaju, z wyjątkiem naturalnie uniwersyteckich, jakie mają niewyraźne miny!

Onegdaj spotykam jednego z nich, który jak sam powiada, musiał „urzędować“ przez całe wakacye, więc chyba nie powinien narzekać i pytam go:

— A cóż tam profesorze?.. Wakacyjki się kończą!..

— Niech to dyabli porwą! Jeszcze dwa dni, albo trzy i zacznie się hamernia... Nie będzie człowiek mógł już odbywać tych miłych spacerków z Bizią!..

Załamałem ręce i zawołałem z oburzeniem:

— Człowieku! A cóż żona na to?

Odparł ze spokojem:

— Baba we wschodniej Galicyi! Ja zostałem sam na gospodarstwie... z Bizią...

— I żona się nie bała?

— Czego?.. Pan chyba nie wie, kto to Bizia?

— Nie, wiem, ale się domyślam... W każdym razie coś rodzaju żeńskiego!.. — Tu łypnąłem nań okiem, dając mu do zrozumienia: znam was słomiani wdowcy... jawnogrzeszniki!

Uśmiechnął się pobłażliwie, a potem rzecze do mnie w te słowa:

— Otóż, jesteś pan w błędzie! Bizia jest wprawdzie rodzaju żeńskiego, lecz to piesek, kochany panie, bardzo sympatyczny pinczerek, z którym nie rozstaję się ani na chwilę...

Odetchnąłem. Jako członkowi Ligi obyczajności ciężki kamień spadł mi z serca, choć ani na chwilę nie wątpiłem, że czcigodny pedagog nie może być wiarołomcą małżeńskim.

Ledwie z tym się pożegnałem, spotykam drugiego.

— Dokądże szanowny profesor?.. Cóż tam z wakacyami?..

Stanął, odsapnął, otarł pot z czoła i rzekł smutnym głosem:

— Oho! Już po nich!.. — i, nie czekając, poszedł na lampkę zieleniaka.

Tak! Tak! Skończyły się czasy dwumiesięcznego przymusowego próżniactwa... trzeba się napowrót zabrać do pracy. A praca to niewdzięczna!

Dawniej, ojcowie nasi wspominają jeszcze te przyjemne chwile, było zupełnie inaczej. Nadeszły wpisy, mama lub tato dźwigali pod pachą kurkę, albo indyka, choćby koszyk jajek, za rękę prowadzili swą pociechę i polecali ją opiece pana nauczyciela, dziś zdaje im się, że robią mu łaskę, jeśli dziecko posyłają do szkoły... Nie tylko nic nie dadzą, chętnie wzięliby, gdyby im dał nauczyciel!

Tempora mutantur et nos mutamur in illis!

Choć, powiedzmy prawdę, z owych dawniejszych szkół wychodziło daleko tęższe — i to pod każdym względem tęższe pokolenie. I umysłowo i fizycznie!

Między nauczycielem a jego uczniami panował jakiś patryarchalny stosunek, jakby między ojcem i dziećmi, dziś zmienił się na zupełnie urzędowy, na czem obie strony wychodzą źle... Ale trudna rada, musimy iść z postępem.

Dajmy jednak spokój szkole i wakacyom, nie wspominajmy o tem, co powróci dopiero za rok, choć pewnego rodzaju małe wakacye będą w czasie świąt Bożego Narodzenia, na które wypada coś około dwudziestu, czy nawet i więcej dni... Co jednak lato, to nie zima, wówczas człowiek nie ma tyle fantazyi i sposobności do zabawy.

Na brak rozmaitości nie będziemy się mogli żalić, na wrzesień zapowiedziano bowiem Zjazd techników polskich, a to wesoły naród i, co najważniejsze, ma monetę a potem ministeryalną wizytę.

Będziemy mieli sposobność oglądać aż trzy ekscellencye równocześnie, boję się, by człek nie oślepł od takiego nadmiaru jasności! Przybędzie minister-rodak Długosz, pan Trnka od róbót publicznych i pan Rössler od handlu.

Rozpoczną naturalnie podróż od kanału, którego jeszcze niema, a potem zwiedzą najrozmaitsze zakłady przemysłowe i nie przemysłowe, no i rzecz prosta zjedzą kilka lub kilkanaście oficyalnych obiadków, bo bez tego się nie obejdzie.

Wogóle ekscellencye lubią podróżować po Galicyi, bo to zawsze bardzo „smaczna“ podróż, w zamian za to obiecują wiele, z czego jednak spełnia się albo nic, albo tylko bardzo mało, bo Galicya jest krajem, który kontentuje się obietnicami, zwanemi „złote gruszki na wierzbie“.

Pan minister-rodak numer drugi, Zaleski, który „robi“ we finansach, nie przybędzie, bo zajęty jest właśnie kreśleniem budżetu, zwłaszcza, o ile on dotyczy naszego kraju. Spisał już podobno coś ze cztery czerwone ołówki i nie jest gotów... musi się zaś spieszyć, bo ciągle przebąkują o zmianach, mających zajść w austryackim gabinecie. W danym wypadku mógłby więc pójść w dobrze zasłużony stan spoczynku, nie chciałby zaś zostawić zaległości swemu następcy. Powiadają, że upatrzony już na to stanowisko dr. Leo, miałby ochotę i p. Stapiński.

A propos owej ministeryalnej podróży pozwoliłbym sobie zaproponować, aby ich ekscellencye wybrały się także i do Zakopanego, ale koniecznie luksusowym wozem Canadian-Pacific Railvay Co, którego w Galicyi nie zobaczymy nigdy, chyba na plakacie, według bowiem opinii ministerstwa kolejowego „zaprowadzenie ich przy pociągach na górskich liniach galicyjskich ze względu na wielki ciężar tych wozów a małe dopuszczalne obciążenie pociągów nie da się urzeczywistnić“.

Jeżeli ich stać na to, mogą zjeść śniadanie na dworcu w Suchej.

W Zakopanem powinni zatrzymać się dłużej, aby mieć sposobność zapłacenia taksy klimatycznej i przekonania się osobistego, jakie ma się za to udogodnienia.

W pierwszym rzędzie zwracam ich dostojną uwagę na bardzo szerokie chodniki (!) na których nie zmieści się dwu osobników, o tuszy n. p. ekscellencyi Długosza... Celem poparcia krajowego przemysłu szewskiego wysypano je świeżo szutrem, który publiczność ma ugnieść własnemi nogami.

Nie radziłbym jednak, by z jednej strony ulicy chcieli przejść na drugą środkiem drogi, czeka ich bowiem śmierć niechybna w nurtach błotnistych kałuż, z których nawet pogotowie ratunkowe nie wyciągnie! Jeśli do tego dodamy wspaniałe oświetlenie kagankowo-naftowo-kopcące, przy którem bardzo łatwo rozbić sobie nos, choćby o słup latarniany, a będziemy mieli pobieżny szkic przyjemności, jakie czekają na nas w letniej stolicy Polski.

Do urozmaicenia przyczyniają się pędzące galopem automobile, przed którymi ucieka naród w popłochu, by nie obryzgały od stóp do głów błotem, no i powtarzające się co tydzień, a nawet częściej, dni kwiatka.

Aby zakosztować wszystkich przyjemności, jakie czekają letnika w czasie podróży i pobytu w Tatrach, zechcą dostojni goście urządzić się w ten sposób, by módz wracać w stronę Krakowa nocnym pociągiem z niedzieli na poniedziałek... Przekonają się, że szparsystem kolejowy obalił wszystkie teorye, jakie wymyślili najwięksi gieniusze świata...

Uczyliśmy się we fizyce, że na mocy takiego a takiego prawa w miejscu, gdzie się znajduje już jedno ciało, drugie równocześnie znajdować się nie może... Pokazuje się jednak, że tak nie jest!

Proszę tylko spojrzeć do przedziału drugiej klasy w tym pociągu! Jest on „urzędowo“ przeznaczony dla ośmiu osób, tymczasem gniecie się ich tutaj nieraz i dwanaście, a chociaż za przejazd zapłaciłeś i masz prawo żądać wygodnego pomieszczenia, nie radzę ci, byś miał n. p. ochotę zwrócić uwagę funkcyonaryusza kolejowego na to, bo albo zbeszta cię i zagrozi protokołem, albo, w najlepszym wypadku, ruszy ramionami i powie:

— Panie łaskawy, co ja panu na to poradzę... Dyrekcya!..

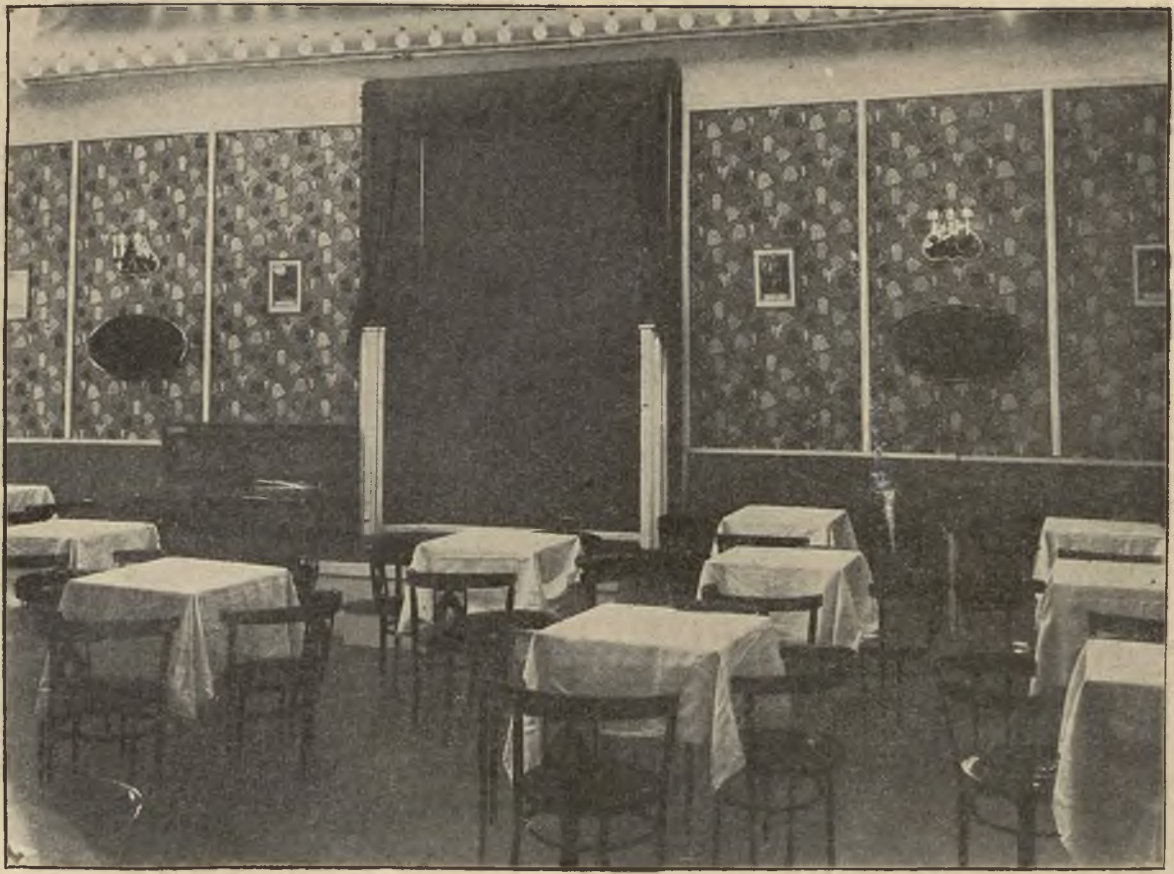
Niechby coś podobnego chciał zrobić zarząd kolejowy w którejś z niemieckich prowincyi austryackich, miałby się z pyszna!.. Ale w Galicyi uchodzi to wszystko...

Jeźli ekscellencye zechcą skorzystać z tych wskazówek, które ułożyłem na podstawie osobistego doświadczenia, jestem pewny, że więcej w Galicyi się nie pokażą i nakażą swym dzieciom i wnukom, aby tego nie robiły, bo to, dzięki właśnie ich „ojcowskim“ rządom, prawdziwa Azya... Bärenland.

TEATR „APOLLO“ W KRAKOWIE.



Herman Benke, artystyczny dyrektor teatru.



Sala kabaretowa teatru „Apollo“ w Krakowie.

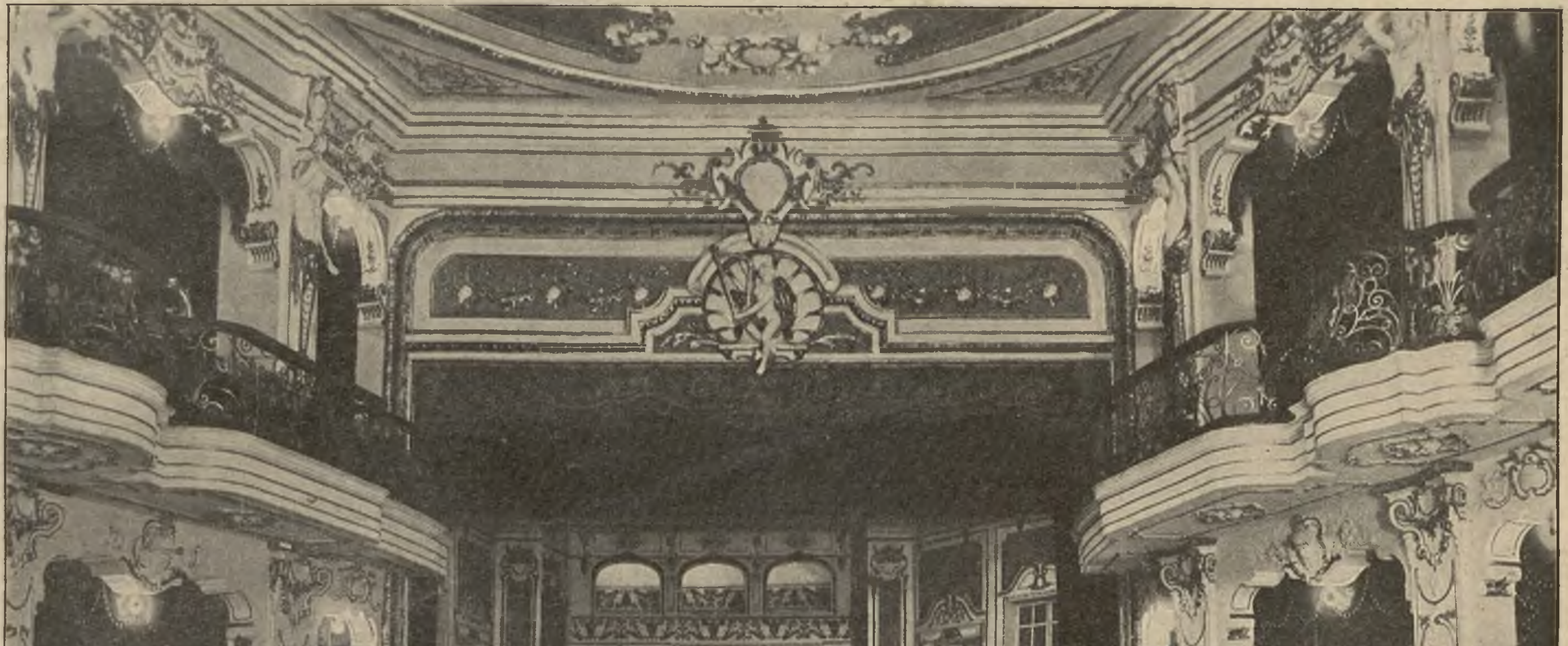
Wesoła Muza, służąca śmiechowi i humorowi, zyskuje w Krakowie nowy przybytek. Z dniem 1-go września b. r. otwiera swe podwoje nowy teatr rozmaitości „Apollo“, mieszczący się w własnym domu przy ul. Zielonej l. 17. Właścicielami nowego przedsiębiorstwa jest kilku obywateli krakowskich, nadto Francuzi oraz wybitny artysta sceny wiedeńskiej p. Herman Benke, który objął artystyczne kierownictwo teatru.

Pomieszczenie dla nowego teatru przygotowano wspaniałe. Sala główna, stylowo urządzona, posiada szereg lóż na dole i na piętrze, oraz obszerną galerję. Sciany wybite są adamaszkiem w kolorze bordo, a cała sala rzęsiście oświetlona olbrzymim pająkiem, oraz bocznymi kinkietami. W głębi sali znajduje się scena urządzona według najnowszych wymagań techniki scenicznej. Przed sceną w należytem pogłębieniu umieszczono orkiestrę.

Obok sali głównej znajduje się druga mniejsza salka „Kabaretowa“. Urządzona z niemniejszym przepychem, a nadewszystko doskonale oświetlona robi wrażenie pięknego salonu prywatnego.

Na wprost scenki umieszczono trzy eleganckie gabinety otwarte, każdy urządzony w innym kolorze.

Zaznaczyć wypada, iż urządzenie wewnętrzne budynku wykonane zostało przez firmy krajowe.

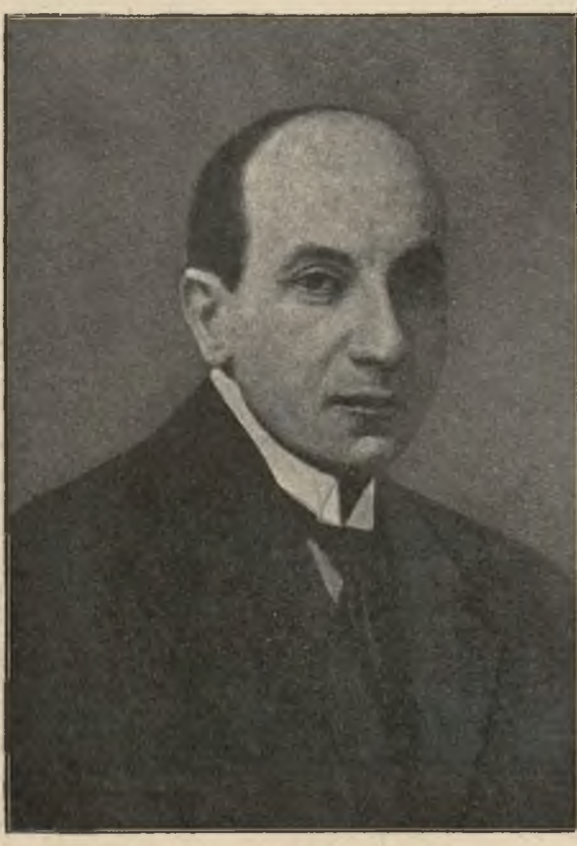


Główna sala dla przedstawień teatru „Apollo“ w Krakowie.

Z polskiej awiatyki.

(Do illustracyi na str. 10).

Żyjemy obecnie w ciekawych czasach, gdy ludzkość toczy ciężką wprawdzie jeszcze, lecz już pełną



Twórcy „Momusa" w Krakowie: Alfred Lubelski.

nadziei walkę o zdobycie powietrza... Człowiek ptak przestał już być mrzonką i wchodzi w sferę realnych czynników, które niewątpliwie na rozlicznych polach życia ludzkiego dokonają ważnych przewrotów. Choć nieprędko jeszcze postępy awiatyki znajdą szerokie zastosowanie praktyczne — czynione obecnie próby rozpoczynają nową epokę w technicznych zdobyczach ducha ludzkiego. Awiatyka uczyniła już olbrzymie postępy na zachodzie Europy, gdzie cała armia lotników dokonywa coraz śmielszych rekordów. W ostatnich czasach i u nas zaczęto zajmować się awiatyką, a liczba polskich lotników wciąż wzrasta. Jednym z nich jest hr. Scipio del Campo, który dokonał całego szeregu śmiałych wzlotów w Król. Polskiem i w Galicyi. Między innemi hr. Scipio w d. 18 b. m. wzniósł się na aeroplanie w Jaremczu. Przy wspaniałej pogodzie o godz. 6 pop. rozpoczął się wzlot.

Lotnik wzniósł się na skrzydłach swego aparatu i po okrążeniu dwukrotnem Jaremcza wylądował precyzyjnie w tym samym miejscu, z którego wyruszył.

Lot na widzach wywarł niezatarte wrażenia. Zaznaczyć przytem należy, że był to pierwszy wzlot aeroplanu w naszych polskich górach.

Nad świeżą mogiłą.

(Do illustracyi na str. 4).

W Warszawie zmarł ś. p. Zdzisław Marchwicki, członek austryackiej Izby panów. Urodzony w r. 1841 w Król Pol., zmarły ukończył gimnazyum w Warszawie i uzyskał stopień doktora praw w Heidelbergu. Osiedliwszy się na stałe w Galicyi, jął się pracy finansowej i w r. 1874 został naczelnym dyrektorem Galicyjskiego Banku Kredytowego. W r. 1889 wybrano go wiceprezydentem miasta Lwowa, którą to godność piastował przez 8 lat. W tym samym roku został posłem do Sejmu krajowego. W uznaniu jego pracy ekonomiczno społecznej cesarz Franciszek Józef mianował ś. p. Marchwickiego dożywotnim członkiem Izby panów.

U schyłku swego życia nieboszczyk przeniósł się do Warszawy, gdzie też dokonał swego sędziwego żywota.

1456 kilometrów na łodzi.

(Do illustracyi na str 3).

Sport wioślarski i kolarski ma tę wyższość nad innymi, że rozwijając fizyczne siły człowieka, dostarcza jednocześnie wrażeń turystycznych i może oddać poważne usługi w celach krajoznawczych. W tych dniach powrócili właśnie z takiej wycieczki krajoznawczej czterej członkowie warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego, pp.: Lewandowski, Deubel, Łaciński i Kwiatkowski, którzy na łodzi w ciągu 25 dni przebyli przestrzeń 1456 kilometrów. Wyruszywszy z Warszawy, dojechali Wisłą do Iwangrodu na Wieprz, stamtąd popłynęli do Krasnego



Nowa fala bandytyzmu w Warszawie: Jan Knipel, zamordowany przez bandytów w restauracyi Zabłockiego przy ul. Senatorskiej (Do art. na str. 2).

stawu, skąd furmanką przewieziono łódkę do Hrubieszowa. Stamtąd dzielni wioślarze popłynęli Bugiem do Narwi i Narwią do Wisły. Powrócili do Warszawy czerstwi i zdrowi, pomimo, iż przebywali dziennie około 100 kilometrów.

Illustracya nasza przedstawia tych dzielnych wioślarzy-turystów na łodzi po powrocie z wycieczki.

Bandyta na „gościnnych występach".

Krakowskie sądy nie mogą uskarżać się na brak pracy. Stosunki tak się układają, iż ważniejsze sprawy z zachodniej Galicyi przeważnie tu są sądzone. Napad w Szczakowej prawdopodobnie tutaj znajdzie



Bandyta na „gościnnych występach": Raniony w Szczakowej i osadzony w więzieniu krakowskiem bandyta Józefowicz po wyjściu ze szpitala!

swój epilog. Bandyta Józefowicz już wyzdrowiał. Po postrzale pozostała mu pamiątka, gdyż utracił jedno oko. Obecnie jest on przedmiotem usilnych przesłuchań ze strony sędziego śledczego.

W dzisiejszym numurze dajemy podobiznę bandyty Józefowicza po wyzdrowieniu.

NADESŁANE.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Szarada: Pasterka.

Łamigłówka artystyczna:

Królowa Saby.
Onegin Eugeniusz.
Norma.
Rienzi.
Aida
Don Desiderio.
Walkirye.
Andrzej Chenier.
Luiza.
Latający Holender.
Ernani.
Niema z Portici.
Rigoletto.
Otello.
Dinorath.

Łamigłówka: Nie zawsze świętego Jana

Zadanie konikowe:

„Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję, rozkoszy próżen i dosytu,
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi Boże!"

Trójkąt magiczny:

E s p e r a n t o
S a l a m i n a
P a r a s o l
E d w a r d
R o m a n
A m e n
N o s
T o
O

Logogryf:

S
S t o
B l a g a
O d v n i e c
M n i c h
O s a
ł
Y a k
K a w k a
J a d w i g a
G i e r y m s k i
R o s s i n i
I m p e t
N i l
a
O n a
B a s e n
P r o k u r a
P o p i o ł y

Figielek: U ludzi czasem się zdarza krytyka
Taka, jak osła o śpiewie słowika.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Arbesbauer Lwów, J. Poznański Warszawa, M Planecka Kraków, K. Fuchs Czeremchów, F. Gebhardt Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Radoszewski Tarnobrzeg, J. Rolard Kielce, W. Borkowski Kraków, J. Marcinkiewicz Krynica, J Bielawski Lwów, H. Zegartowska Bogucice, J. Zerygiewicz Stanisławów, Z Marynowska Olszanica, I. Rogowski Poznań, C. Lipiński Kraków, K. Rylski Poznań, J. Jakubowska Kraków, S. Moszyński Stanisławów, M. Gold Witów, W. Obraczay Morawska Ostrawa, D. Engelberg Tarnów, S. Sułkowski Jordanów, F. Müller Lwów, J. Better Kałusz, J. Gruszczyńska Podgórze, I. Balicki Stanisławów, T. Nikiel Podgórze, J. Charzewski Łódź, J. Tomaszkiewicz Warszawa, S. Kolbuszewski Jasło, K. Radziński Kołomyja, K. Kaim Kraków, J. Oszacki Warszawa, M. Kalinowska Poznań, H. Sosnowski Kijów, M. Zagórski Krynica, F. Blatterfeind Stanisławów, J Klappholz Rzeszów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Siegel Tarnów, J. Jahoda Cieszyn, M. Janik Drohobycz, H. Wiewiórowski Kołomyja, H. Wojciechowski Sandomierz, J. Obst Łódź, Z. Sperling Wiedeń, P. Madejski Kraków, W. Ostrowski Kraków, K. Lachowska Warszawa, R. Kwaśniewski Lwów, M. Więckowski Poznań, M. Olszewska Kraków, J. Pick Warszawa, S. Łopatkiewicz Sambor, A Zawada Kraków, G. Górecki Zakopane, C. Wang Rzeszów, W. Bandrowski Skierniewice, A. Dużak Kraków, A. Biliński Tarnopol, M. Garlińska Lwów, F. Schmidt Cieszyn, S. Świrski Radom, J. Cichocki Warszawa, S. Kowalówka Kraków, L. Korytowska Krynica, S. Bukowski Równo,

H. Pokorska Stanisławów, M. Rost Rzeszów, K. Domański Iwonicz, F. Horak Oświęcim, J. Wilczkiewicz Sanok, H. Piątek Podwołoczyska, R. Bernatowicz Zakopane, D. Knobel Radom, I. Nowak Podgórze, R. Sawicki Lwów, S. Lichański Sanok, G. Chyżewski Jasło, S. Wojczyński Petersburg, K. Rogoziński Tarnów, S Krzyżanowski Podgórze, M Szydłowski Radom, G. Lisowski Krosno, H. Srokowska Zamość, A. Piękoś Lwów, K. Morawska Lwów, J Misiewicz Lwów, D. Medyński Łańcut, R. Sauer Busk, W. Kownacka Rozwadów, E. Nowacki Przemyśl, S. Zachara Krosno, M. Takliński Płock, J. Leszczyński Sambor. J. Lipski Wiedeń, K. Błachowski Jasło, H. Maciejowska Winnica, Z Kiciński Piotrków, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Dzikowski Karlsbad, K. Dębiński Krynica, J. Gruber Lwów, R. Tyszecka Warszawa, D. Bogacki Jasło, K. Ogonek Lublin, R. Knapik Lwów, S Kozłowski Szczawnica, A. Siatka Kraków, K. Habowska Rabka, J. Zborowski Radomyśl, M. Ciesielski Poznań, K. Tombiński Lwów, W. Potocka Poronin, J. Janowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Michałowski Zakopane, J. Chmurowicz Kraków, J. Fink Przemyśl, M. Antosz Bochnia, M. Silber Kopyczyńce, S Sokołowski Brody, J. Krawecki Drohobycz, M. Kozik Lwów, J. Sikorski Sanok, S. Karwowski Warszawa, K. Lewicki Poznań, Z Serwacki Lwów, J. Kowalski Kołomyja, I. Wisłocki Lwów, S. Gadomski Płock, K. Stankiewicz Warszawa, G. Górski Kraków, D. Rosenbaum Lwów, M. Czyżewicz Płock.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Kozłowski, Szczawnica.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zbliża się dzień otwarcia VI Zjazdu Techników polskich w Krakowie. Zjazd zapowiada się nadspodziewanie świetnie. Ilość uczestników będzie bardzo wielka. Zgłoszone referaty zainteresują wszystkich tak nadzwyczaj ciekawymi tematami, jak i ich gruntownem opracowaniem Specyalny Komitet zabawowo-gospodarczy niestrudzenie pracuje. Każdy polski Technik 11 września b. r powinien być w Krakowie i będzie. Niniejszą odezwę należy uważać za gorące wezwanie do uczestnictwa w Zjeździe o ile zaproszenie nie zostało doręczone z braku adresu, lub z winy poczty.

Z „Cyrku Edison": Nowy program (od dnia 30 b. m. do 5 września włącznie) przynosi wspaniałe zdjęcia z natury malowniczych Pirenejów, prześlicznych okolic Riviery. Malarz modernista przedstawia utwory nowej szkoły ze strony humorystycznej. Wspaniały dramat o treści doborowej odznacza się nadzwyczaj piękną wystawą i mistrzowską grą artystów. Żurnal Pathego podaje w obrazach ważniejsze wypadki ubiegłego tygodnia. Od piątku dnia 30 b. m. początek przedstawień o godz 8-mej wieczór.

Ze świata kobiecego.

Co może moda?

Nie będę w tym numerze pisała wyjątkowo o naszych modach i tem, co w przyszłości nosić będziemy. Przez kilka ostatnich tygodni zebrałam szereg wiadomości o różnych nadzwyczajnych przeławach mody, zarówno ekscentrycznych jak i oryginalnych, które pragnę opisać, aby naszym Czytelniczkom dać wyobrażenie, co się w dziedzinie mody na świecie dzieje.

Ma się rozumieć pod względem oryginalności w modzie prym dzierży Francya i Ameryka. Takie



Suknia domowa z ciemnej materyi z białem *fichu*.

rzeczy, jakie tam się nosi, wyglądają nieraz na bajkę nieprawdopodobną.

Tak naprzykład postanowiła pewna dama w Chicago wynaleźć sposób, zapomocą którego mogłaby w ciemnych ulicach radzić sobie bez pomocy latarni lub zapałek. Wymyśliła więc kapelusz ubrany według najnowszej mody ładnymi wielkimi kwiatami. Wewnątrz główki umieszczona jest mała, ale silna baterya elektryczna, zaś wśród kwiatów kryje się kilka małych lecz jasnych lampek elektrycznych. Za pomocą guziczka, przeprowadzonego do brzegu kapelusza i ukrytego w tiulu stanowiącym podbicie ronda, można lampki zapalić i wtedy dama, posiadająca taki kapelusz, ma na kilka kroków w około jasno oświetloną przestrzeń. Wynalazczyni ukazała się w swym kapeluszu na ulicach miasta i wzbudziła wielką sensacyę. Znalazła jednak chętnie naśladowczynie.

Druga bardzo oryginalną sensacyą w dziedzinie mody są suknie ze skóry wężów. Wprowadził je w tym sezonie jeden z wielkich domów paryskich. Jak zapewniają pisma francuskie nowość ta znalazła uznanie w sferach, których pieniężne stosunki pozwalają na tak drogie suknie. Jeden tylko warunek muszą posiadać te panie, które chcą nosić takie szaty, mianowicie muszą być wysmukłej i zgrabnej budowy. Jako materyału używa się skór wężów: pytona, boa lub anacondy. Zwłaszcza ten ostatni gatunek wężów jest bardzo poszukiwany, gdyż skóra ich jest bardzo mocna. Skóry takie mają po 8–10 m. długości i około 30 cm. szerokości. Preparuje je się odpowiednio, a potem kraje z nich suknie tak jak z jedwabiu. Pewne trudności są tylko z szyciem, gdyż skóry te, o ile są ładne, o tyle są dosyć nietrwałe.

W każdym razie w sferach najbogatszych Paryżanek suknie wężowe należą do najdroższych i najbardziej poszukiwanych.



Suknia jesienna z białego sukienka, ubrana jedwabiem.

Nie tylko w dziedzinie sukien moda pozwala na nadzwyczajności.

Wielkiem uznaniem zaczynają się cieszyć w Paryżu, a powoli także i w Wiedniu oraz Berlinie pończoszki jedwabne podwójne. Spód stanowi pończoszka o kolorze cielistym, zaś na wierzch wkłada się drugą pończoszkę równie cienką z koronek lub siatki jedwabnej. Modnemi także są pończoszki z jedwabnemi wstawkami koronkowymi. Na schyłku lata do mody tej w zakresie pończoszek dodano jeszcze fantazyę na polu bucików. Wprowadzono mianowicie pantofelki z białego cienkiego batystu,



Suknia wizytowa z jedwabnego brokatu z podpięciami *panier*.

haftowanego w stosowny delikatny deseń, które wewnątrz są wybite różową atłasową podszewką.

Moda ma nawet swoją męczenniczkę. Jest nią p. Nina Putnam, znana literatka nowojorska. Wystąpiła ona z praktycznem noszeniem ubrania reformowanego zrobionego z jednego kawałka materyi. Mimo iż pani Nina jest przedmiotem drwin, nie ma zamiaru nawet na prośby męża zaprzestać nosić swą suknię. *W.*

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

6

Paulin Broquet zwrócił się do kumoszek:

— Ajent ma słuszność, nie ma prawa wypuszczać nikogo... ale ostatecznie możemy zrobić wyjątek... nie mogę zgodzić się na to, żeby kapitan Malther umierał z głodu. Proszę — może pani iść.

Małgorzata podziękowała krótko i przeszła tryumfalnie koło ajenta, który, przepuściwszy ją, stanął na nowo na straży.

Paulin Broquet wszedł do loży odźwiernej, by zasięgnąć informacyi o mieszkańcach domu.

Odźwierna rozpoczęła opowiadanie od kapitana Malther, gdy on sam ukazał się w drzwiach wchodowych. Według słów odźwiernej — kapitan i jego żona pochodzili z Alzacyi i mieszkali we Francyi od czasu wojny. Małgorzata przyjechała wraz z nimi jako mamka ich dziecka i pozostała później jako kucharka. Służyła u kapitana od piętnastu lat.

Kapitan, dowiedziawszy się od ajenta o przygodzie Małgorzaty, wszedł do loży odźwiernej, żeby poznać sławnego detektywa.

Paulin Broquet uśmiawszy się wraz z kapitanem z przygody, do której pozornie nie przywiązywał żadnego znaczenia — wyszedł z loży. Pod pretekstem głośno wyrażonym, że ma parę słów do powiedzenia komisarzowi — wszedł na schody, rozmawiając z kapitanem. Gdy już nikt z dołu nie mógł ich słyszeć, detektyw rzekł szybko szeptem:

— Panie kapitanie, proszę pana o pięć minut rozmowy w nader ważnej sprawie, która musi pozostać w najgłębszej tajemnicy.

— Służę panu, z największą przyjemnością — odparł kapitan. — Proszę do mego gabinetu.

Wprowadził detektywa do swego mieszkania.

— Słucham pana. O co chodzi?

— Powiem w paru słowach, gdyż bardzo się śpieszę... Chodzi o rzeczy bardzo ważne i pan może mi dopomódz...

— Jestem na rozkazy i z góry obiecuję uczynić, co będę mógł.

— Przedewszystkiem chcę zapytać, czy pan ufa Małgorzacie?

— Absolutnie!

— Dobrze. Czy pan wie, że Małgorzata znała pana Schmitta?

— Naturalnie. Była to znajomość sąsiedzka. Pan Schmitt jest bardzo dzielnym człowiekiem... pracuje w prochowni państwowej. Mówi dobrze po niemiecku... Małgorzata lubi gawędzić, zwłaszcza w rodzinnym języku...

— Małgorzata mieszka w tym domu, nieprawdaż?

— Tak, — ma pokój na szóstem piętrze; najczęściej jednak sypia w pokoju mego syna, który jest w liceum.

— Czy mogę zobaczyć ten pokój?

Kapitan, bardzo zaintrygowany, zaprowadził detektywa, o nic nie pytając.

Paulin Broquet rzucił okiem po pokoju i przekonał się odrazu, że szczegółowe przeszukiwanie do niczegoby nie doprowadziło. Małgorzata sypiała tylko w tym pokoju i nie mogła tu nic przechowywać.

— Chodźmy do kuchni — rzekł detektyw.

Nie pytając o nic, kapitan zaprowadził go do kuchni.

ROZDZIAŁ XVI.

Koszyk z jajami.

Paulin Broquet rozejrzał się szybko po kuchni, zajrzał do szafy, do szuflad i otworzył kredens.

— Znajdzie pan tu tylko masło, mleko, jaja, któremi żywi się moja chora żona.

— Kto panu dostarcza tego wszystkiego?

— Nie wiem... Żona jada przeważnie jaja, dostarcza ich jakiś znajomy Małgorzaty — już od wielu lat...

— Zdaje mi się — rzekł detektyw z uśmiechem, — że Małgorzata obawia się moli.

— Moli!

— Tak — przechowuje jaja w kamforze.

— W kamforze? Jaja?

— Proszę, niech pan powącha. Te jaja czuć kamforą.

Paulin Broquet wziął koszyk, w którym leżało kilka jaj i podsunął go pod nos kapitanowi.

— Rzeczywiście — rzekł ten zdziwiony — rzeczywiście — czuć je kamforą.

Paulin Broquet postawił koszyk na miejscu, wyjął zeń jedno jajko i pokazał kapitanowi.

— Oto przyczyna — rzekł — to jajko zrobione jest z celuloidu.

Kapitan podskoczył.

Detektyw tymczasem wziął jajko w palce obu rąk — nacisnął delikatnie i otworzył.

— W tem jajku — rzekł poważnie — Małgorzata przesyła przez chłopaka, dostarczającego nabiał — różne dokumenty, które znajduje u pana na biurku i które idą za granicę!

Kapitan osłupiał — nie chciał rozumieć tego, co usłyszał.

— Małgorzata! — zawołał — Małgorzata! która wykarmiła mego syna, która służy u mnie od piętnastu lat, której ufałem bezgranicznie, która była tu jak u siebie w domu...

— Ta Małgorzata, panie kapitanie, znała się ze Schmittem. Ona to usiłowała spalić kompromitujące go dokumenty. Schmitt jest szpiegiem, który w tej chwili jest aresztowany. Małgorzata — Alzatka... rodem z Berlina, umieszczona była u pana, również jako szpieg.

Kapitan nie mógł znaleźć odpowiedzi... Jajko z celuloidu było niezbitym dowodem.

— Ależ w takim razie — rzekł wreszcie w najwyższem przerażeniu — papiery, które przynoszę ze szkoły... dokumenty — wszystko to było na jej łasce...

— I wszystko zostało przesłane do Niemiec.

— Ale żadnego nie brak.

— Gdyż zostały sfotografowane przez Schmitta i na filmach fotograficznych, zwiniętych i schowanych w tem jajku szczęśliwie przesłane...

— Ach nędznica — krzyknął kapitan — wypędzę ją...

— Nie — rzekł Paulin Broquet — przeciwnie, nie okaże jej pan, że wie o wszystkiem. Tylko niech pan nie zostawia na biurku dokumentów, mających jakąkolwiek wartość. Tymczasem musimy bliżej poznać Małgorzatę i sekret jajka z celuloidu... A przedewszystkiem, kapitanie, spokojnie i ostrożnie!

Paulin Broquet położył jajko na miejscu i wyprowadził zgnębionego kapitana z kuchni.

— Teraz — skoro pan jest uprzedzony, proszę być ostrożniejszym. A nadewszystko postępować tak, żeby Małgorzata niczego się nie domyśliła. Nikomu o tem ani słowa, nawet żonie. Zobaczymy się jeszcze.

Pożegnawszy zrozpaczonego kapitana, Paulin Broquet kazał się wieźć do ministerstwa spraw zagranicznych.

ROZDZIAŁ XVII.

Radość i obawa.

Minister uprzedzony czekał na przybycie detektywa, niecierpliwiąc się coraz bardziej. W przedpokoju Paulin Broquet spotkał się z młodym Mr. Raymondem, który — dziwnym przypadkiem właśnie tędy przechodził.

— No i cóż? — zapytał młody człowiek — czy był pan szczęśliwy? Czy odnalazł pan zuchwałych fotografów, którzy...

— O jakich fotografach pan mówi? — zapytał żywo detektyw, przeszywając go wzrokiem.

Młody człowiek, zmieszany — począł się jąkać, dając jakąś niezrozumiałą odpowiedź, której zresztą Broquet nie słuchał, śpiesząc do gabinetu ministra.

— Panie ministrze — rzekł detektyw, zamknąwszy za sobą starannie drzwi, — zdaje mi się, że mam dla pana ciekawe wiadomości.

— Byłem tego pewny. Niechże pan mówi!

— Pozwoli pan, że wezmę z szuflady arkusz czystego papieru.

— Niech pan bierze, drogi panie, co się panu podoba — nie traćmy drogiego czasu na niepotrzebne ceremonie! Niech pan bierze papier, pióra — wszystko, czego pan potrzebuje.

Paulin Broquet złożył na ziemi swoje zawiniątko.

— To obejrzymy później — rzekł — muszę to sam sprawdzić... tymczasem pokażę panu coś innego.

Mówiąc to wyjął z kieszeni kliszę fotograficzną, i wziąwszy z biurka arkusz papieru, przyłożył go do niej, by lepiej widzieć.

Za nim — niespokojnie stanęli — minister i szef gabinetu, Mr. Simonet.

— Panie ministrze, — zapytał po chwili Paulin Broquet, — czy na marginesie traktatu dardanelskiego są jakie uwagi, adnotacye, znaki wreszcie, skreślone ołówkiem lub piórem?

— Tak jest — odparł minister. — Sam porobiłem tam pewne uwagi — był to projekt właściwie.

— Doskonale, panie ministrze. Czy była między innemi uwaga, na marginesie, z lewej strony — rozpoczynająca się od słów: „Wszystkie zastrzeżone aż do Złotego Rogu?..“

— Tak jest. Oto traktat — a tu ta uwaga.

— W takim razie, panie ministrze — zawołał detektyw — mam w ręku kliszę, zrobioną w tym gabinecie. Mam fotografię traktatu o Dardanelach.

Minister wydał okrzyk radości.

— Znalazł pan ją? To ta?

— Oto ona!

Drżący ze wzruszenia minister i szef gabinetu zbliżyli się do detektywa, pożerając oczyma kliszę, trzymaną pod światło. Widzieli teraz sami, odczytywali nagłówek dokumentu i adnotacyę, o której przed chwilą mówił Paulin Broquet.

— Tak, to moje pismo — wykrzyknął minister, — poznaję — poznaję moją adnotacyę.

I w porywie radości, pochwycił rękę detektywa.

— Ach! drogi panie Broquet — rzekł gorąco. — Jaką usługę oddaje pan Francyi! Jaką wdzięczność winienem panu. Nie tylko jako minister, ale w imieniu kraju, jako patryota, jako człowiek, z głębi serca dziękuję, dziękuję panu!

— Niech pan jeszcze nie dziękuje — panie ministrze.

— Dlaczego? Przecież — dzięki swej inteligencyi i energii odnalazł pan to, co uważaliśmy za stracone.

— Ta klisza — niestety — to prawie nic!

— Jakto?

— Nic na niej niema.

— Nic?

— Nic, prócz nagłówka i tej uwagi.

— A tekst?

— Tekst nie odbił się. Klisza jest czarna.

— Dlaczego? Jakim sposobem? Niech nam pan to wytłumaczy?

— Można to tłumaczyć rozmaicie... ...yczyny mogą być czysto technicznej natury. Mo... papier, na którym spisano traktat — był błyszczący — może atrament kolorowy — winien temu — naprzykład kolor błękitny nie daje się sfotografować.

Szef gabinetu, pan Simonet — wykrzyknął.

— Rzeczywiście... To był tylko brulion, który mi pan, panie ministrze, dyktował. Posługiwałem

się przy tem czarno niebieskim atramentem, a właściwie niebieskim... Proszę spojrzeć...

— Prawda. — rzekł Paulin Brcquet, rzucając okiem na złożony na biurku dokument, — atrament jest niebieskawy; a właśnie kolor niebieski na białym nie daje się odfotografować; klisza pozostaje czarną tak właśnie, jak w tym wypadku.

— W takim razie, — rzekł minister, — oni nic nie mają.

— O, przepraszam, — odparł Paulin Brcquet. — Oni nic nie mają tylko w razie, jeżeli zadowolnili się jedną klisza. Lecz sprawa, dla której pracują jest zbyt ważna, aby poprzestali na tej jednej kliszy.

— Więc pan myśli, iż...

— Myślę, iż musieli zrobić kilka zdjęć, używając przytem klisz czułych na różne kolory.

Paulin Brcquet widząc, iż twarze ministra i szefa gabinetu znowu sposępniały, dodał:

— Zresztą, możemy na szczęście przekonać się, czy zdjęcie było zrobione tylko jedno, a jeżeli nie, to czy klisze już są wywołane.

— Od kogo się pan o tem dowie?

— Od człowieka, który zabrał te klisze.

— A więc pan go zna?

— Wracam właśnie od niego. Jest to pewien pan Schmitt, podający się za Szwajcara. Może pan będzie łaskaw i zatelefonuje z zapytaniem, czy go aresztowano?

Podczas gdy minister oczekiwał odpowiedzi — Paulin Brcquet zauważył:

— Może tym razem nikt nie będzie posłuchiwał...

Po paru minutach oczekiwania odpowiedziano, iż pan Schmitt nie zjawił się wcale rano w prochowni.

Brcquet uśmiechnął się.

— Pewien byłem tego, — rzekł.

Poczem dodał żywo:

— Pan pozwoli, panie ministrze, że pójdę, aby dalej prowadzić śledztwo.

To mówiąc, wziął teczkę z drogocennymi dokumentami i wyszedł zostawiając ministra i szefa gabinetu zupełnie przygnębionych.

Zaledwie detektyw się oddalił, wszedł do gabinetu przez drugie drzwi Mr. Raymond.

— Hrabia Toromaki, ambasador japoński, — rzekł zwracając się ku ministrowi, — prosi o chwilę rozmowy.

— Proszę go wprowadzić, — odrzekł Mr. Desbois Billy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Ucharakteryzowany pies.

Paulin Brcquet po wyjściu z gabinetu ministra kazał siebie zawieźć do swego biura, aby schować w pewnem miejscu zdobycz zgarniętą u Schmitta. Przytem miał spotkać się tam ze swymi agentami. Dwaj z nich, a mianowicie Mapipe i Firmin znajdowali się już w jego gabinecie.

Mapipe trzymał uwiązanego na smyczy Fritza, psa nieszczęśliwej Fernandy, narzeczonej Schmitta. Był uszczęśliwiony, iż mu się udało spełnić polecenie szefa.

Przeciwnie Firmin był wściekły. Głowę miał obandażowaną, zakrwawioną chustkę trzymał przy nosie, lecz, nie to właściwie gniewało go, tylko myśl, iż mu się nie udało spełnić swego zadania. Nie bał się swego naczelnika, lecz było mu przykro, iż nie będzie mógł odpowiedzieć na jego pytania. Paulin Brcquet nigdy nie karał swych pracowników, ani nie robił im żadnych wymówek. Brał ich do stałej służby po długich próbach i po zdaniu egzaminu ze sprytu, wielkiej odwagi i zręczności. To też było wielkiem szczęściem módz siebie zaliczać do brygady wielkiego detektywa. Gdy trzeba było spełnić jakieś trudne zadanie, Paulin Brcquet wybierał do tego ludzi najdzielniejszych i jeżeli im się nie udawało, to znaczyło, iż niktby na ich miejscu tego również nie uczynił.

Gdy wszedł do swego gabinetu Mapipe i Firmin wstali, witając go po wojskowemu.

Odrazu spostrzegł bandaż otaczający głowę Firmina i psa przy boku Mapipa. Podszedł do pierwszego i klepiąc go przyjaźnie po plecach, zapytał:

— Jakim sposobem urządzili oni tak ciebie?

Firmin opowiedział zwięźle, co zaszło.

Otrzymawszy polecenie pilnowania przekupnia zaczął go pilnie śledzić. Przeszedł za nim plac Giełdy, udał się na ulicę Montmatre, gdzie śledzony sprzedawał swe listy kilku osobom, między któremi dwie nie zapłaciły, co wskazywało, iż prawdopodobnie musiały należeć do jego wspólników. Nie mógł się zająć nimi, gdyż przekupień szedł wciąż dalej. Przeszli tak jeden za drugim bulwary, ulicę Bergèra, jeszcze parę innych, w końcu wyszli na ulicę de Paradis.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Klar.

Pierwsze-czwarte szybko bieży,
Trzeci-czwarty, kotek bywa,
Trzecie z pierwszem wziąć należy,
Gdy ktoś w nieprawości pływa.
Drugi bawił nas przed laty,
Całe również zabawiały,
Tak mieszkańca nizkiej chaty,
Jak i willi okazałej.

Bilety wizytowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z liter umieszczonych na biletach ułożyć zawód poszczególnych osób.

JAMES TRAKERWICKI

PIOTR SKAJDRAMUS
Rzym

CEZAR IDZI KINKLENCZ

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: O dzisiaj dognie łeb wronie mej! G!

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek. Stary Sambor.

Uzupełnić podane wyrazy. Pierwsze ich litery, czytane z góry na dół, podadzą katastrofę kolejową w Galicyi z miesiąca lipca.

— oc
— kr
— yś
— by
— ak
— ek
— ni
— as
— ir
— yk
— ut
— wi
— nr
— ór
— za
— os
— ra
— wa.

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nam nazwisko polskiego powieściopisarza, pierwszy poziomy tytuł jego dzieła.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Miasto w Galicyi (składa się z dwu słów) 3. Inaczej bezrząd 4 Rodzaj świątalnego pieczywa. 5 Termin znany z geografii 6 Nauka obyczajów. 7 Zwierzę drapieżne. 8. Znany minerał. 9. Przyimek 10 Samogłoska.

Prostokąt magiczny.

Ułożył W. Zachwatowicz Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd pionowy pierwszy poda nam nazwisko polskiego powieściopisarza, pierwszy zaś poziomy jego pseudonim.

□ □ □ □ □
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Kraj w Azyi 3. Imię żeńskie. 4. Roślina pastewna 5 Góry w Grecyi. 6. Narzędzie gospodarskie. 7. Sprzęt domowy. 8 Kraj w Afryce. 9 Miasto na Litwie. 10. Część ubioru kapłana. 11. Dawna broń. 12 Ptak domowy.

Łamigłówka krzyżowa.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

W podanej figurze poprzestawiać tak litery, aby utworzyły trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

		a	a	a		
		a	a	a		
a	a	a	d	d	d	d
g	g	i	i	k	k	k
k	l	l	n	n	n	n
		o	o	o		
		p	r	r		

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość w Afryce południowej. 2 Miasto w Niemczech 3. Prowincya hiszpańska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Śliwińskiego:* **Mickiewicz jako polityk**

Ustalona sława jest, że Gramofon z marką **„aniołek piszący“** jest synonimem aparatu, odtwarzającego muzykę i śpiew czysto i naturalnie, nie powinien się więc nikt dawać zwodzić szumnym reklamom, którymi konkurencya zachwala swoje towary, lecz zaglądnąć do jedynego składu oryginalnych Gramofonów aniołkowych

we Lwowie ul. Sykstuska L. 2 Telefon 1560.

Józefa Wekslera

w Krakowie ul. Floryańska L. 25 i ul. Grodzka L. 71 Telefon 1241.

Cenniki na żądanie wysyła się darmo i opłatnie.



by się przekonać, że wyroby gramofonów aniołkowych są szczytem techniki na punkcie udoskonalenia i żaden inny wyrób nie wytrzymuje porównania z temiż. — Największy wybór płyt pierwszorzędnych artystów otrzyma się tylko na płycie aniołowej. — Demonstracya bez przymusu kupna. — Ulga w spłatach ratalnych. — Gramofon koncertowy z 5 płytami t. j. 10 zdjęć kosztuje **Kor. 50·—**. Wszelkie płyty prócz aniołkowych i sonofon kosztują po **Kor. 2·—**.

Rok założenia 1900 PIERWSZORZĘDNY Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków, ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku
Filia: **Lwów, pl. Halicki 7** (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Lalki nasze z włosami do czesania są marzeniem wszystkich dziewczątek. Stale na składzie ot K 1·70 do 30 K. — Cennik na żadanie. — Wysyła odwrotnie każde zamówienie.



Pierwsza krak. fabryka lalek Kraków, ul. Wolska 1.

Tanie pierze na pościel i puch

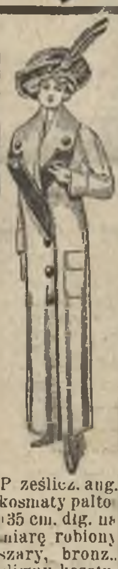
1 klg. szarego dartego K 2·—, lepszego K 2·40, półbiałego I-a 2·80, białego K 4.—, I-a miękk. jak puch K 6·—, najlepszego I-a K 7·—, 8·— i 9·60. Puch szary K 6·— i 7·—, biały I-a K 10·— Puch z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

Gotowa pościel

z gęstego, czerwonego, niebieskiego, żółtego lub białego inletu (Nanking)' 1 pierzyna około 180 cm. dług. 120 cm. szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·— półpuchem K 20·—, puchem K 24·— **Pojedyncze pierzyny** K 10·—, 12·—, 14·—, 16·—. **Pojedyncze poduszki** K 3·—, 3·50 i 4·—. **Pierzyny** wielk. 200X140 K 13·—, 15·—, 18.— i 20·—. **Poduszki** wielk. 90X70 cm. K 4.50, 5·— i 5·50. Piernaty z najlepszej dymki 180X116 cm. K 13·— i 15·— przesyła od K 10 franko za pobraniem lub za poprzedniem nadesłaniem gotówki

Max Berger, Deschenitz Nr. a 199, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy. Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.



Prześlicz. ang. kosmaty palto 135 cm. dłg. na miarę robiony szary, bronz., oliwny kosztuje **K 24·—**

TAJEMNICA

jak się tanio a dobrze, szykownie i eleg. ubierać leży w wyborze właściwego źródła. Nasze szeroko rozwinięte stosunki handlowe polegające tylko na kupnie za gotówkę, pozwalają nam tak w wyborze jak i gatunku i taniości czynić bezkonkurencyjne oferty.

Żadna dama niech nie omieszka

przeto przed zrobieniem zakupna na sezon jesienny i zimowy zażądać naszej **bogatej kollekcyi próbek** zawierającej najnowsze wzory materyi na suknie i bluzki oraz płócien jakoteż naszego **wspaniale illustrowan. katalogu głównego.**

Wysyłka zupełnie bezpłatnie.

Grand Magasin „Au Prix Fixe“
Wiedeń I., Graben 15/7
Wchód od Habsburgergasse 1

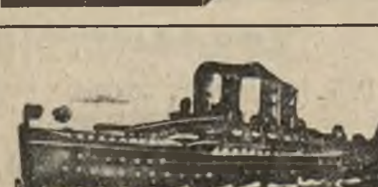


Filia: ul. Hetmańska L. 6.
POLECA **CUKRY, CIASTA, TORTY, LODY**
pierwszorzędnej jakości, po cenach nader przystępnych. — Zlecenia z prowincyi odwrotnie nader starannie, opakowanie po cenie własnej.

Założyłbym się, że i pan nie ma czasu

położyć się do łóżka, gdy nawiedzi pana ból gardła lub silny katar. Czyń pan więc, jak i ja robię. Skoro tylko poczuję najmniejszą dolegliwość, biorę natychmiast Faya, prawdziwe sodeńskie, mineralne pastylki wedle przepisu. Te zawsze mi dotychczas pomagały i od czasu, jak te pastylki noszę przy sobie nie byłem zmuszony nigdy ani jednej godziny pozostać w domu. Pozwól pan sobie powiedzieć i rob pan tak samo. Nie pożałuje pan tego z pewnością. Pudełko kosztuje tylko 1 K 25 hal., musi pan jednak uważać, by panu naśladownictwa nie dano.

Do Ameryki i Kanady przeprawia najlepiej



Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka 99

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osob dorosłej wraz z pogłównem **K 220·—**, od dziecka poniże lat 12 wraz z pogłównem **K 120·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście:** **Pannonia:** d. 27 sierpnia 1912 **Ivernia:** dnia 10 września 1912.

Z Liwerpolu: **Lusitania:** (najszybszy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 7|9, 28|9, 26|10 1912 r.
Mauretania: dnia 31|8, 21|9, 12|10 1912 r.

KORALE PRAWDZIWE,
TOREBKI DAMSKIE,
PARASOLE i POŃCZOCHY
POLECA
STEFAN PORĘBSKI, KRAKÓW RYNEK L. 32



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 1359.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru. Podejmuje się wykonania **grobowców** w miejscu i na prowincyi.

Fabryczny skład kufrów, waliz, toreb,

neceserów, modnych torebek damskich, pledów angielskich i parasoli

Anastazy Froncz

Kraków, Floryańska L. 17.

Woda kolońska (podwójna) z **„Bramą Floryańską“** z zapachami: „Violette de Parme“, „Muguet de Français“, Lilas i „White Rose“.
PERFUMY, MYDEŁKA, KOSMETYKI,
grzebienie, gąbki, szczotki do zębów, włosów i sukien w wielkim wyborze

poleca PERFUMERYA **Sporn i Sp.** **Kraków** Floryańska 14 Telefon 2246

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.